

Hans Christian Andersen

## *Brzydkie kaczątko*

H. Ch. Andersen, *Baśnie i opowieści*, Poznań 2006, t. 1, s. 280-287.

Jak pięknie było na wsi! Było lato, żyto złote, owies zielony, w dole na zielonych łąkach stało w stogach siano, na długich czerwonych nogach przechadzał się tam bocian i paplał po egipsku, bo tego języka nauczył się od matki. Wokół pól i łąk rozciągały się wielkie lasy, a wśród lasów głębokie jeziora; o tak, na wsi było naprawdę pięknie. W blasku słońca stał tam stary dwór otoczony głębokimi kanałami, a od muru aż po wodę rosły wielkie liście łopianu, takie wysokie, że pod największymi mogły stać wyprostowane małe dzieci; było dziko jak w najgęstszym lesie. I właśnie tam miała swoje gniazdo kaczka; wysiadywała pisklęta, ale już jej się przykrzyło, bo tak długo to trwało, a rzadko kto ją odwiedzał. Inne kaczki wołały sobie pływać po kanałach niż wychodzić z wody i siedzieć pod liściem łopianu, żeby z nią pogawędzić.

Wreszcie, jedno po drugim, jajka zaczęły pękać, słychać było: „Pip, pip!” Żółtka ożyły i wychylały ze skorupki główki.

- Kwa, kwa! - powiedziała kaczka, a małe wydobywały się ze skorupki tak szybko, jak umiały, i rozglądały się na wszystkie strony pod zielonymi liśćmi; matka pozwalała im patrzeć, ile tylko chciały, bo zielony kolor jest zdrowy dla oczu.

- Jaki ten świat wielki! - mówiły kaczuśki, bo miały teraz dużo więcej miejsca niż w jajku.

- Myślicie, że to cały świat? - powiedziała matka. - Świat ciągnie się daleko po drugiej stronie ogrodu, aż po pole pastora, ale nigdy tam nie byłam. - No, chyba jesteście już wszystkie! - I kaczka wstała. - Nie, jeszcze nie! Jeszcze zostało największe jajko; jak długo to ma trwać? Teraz naprawdę mam już tego dosyć! - I znów usiadła.

- No, jak tam? - spytała stara kaczka, która przyszła w odwiedziny.

- Tak długo się to ciągnie z tym jednym jajkiem! - powiedziała kaczka, która wysiadywała jajka. - Nie chcę pęknąć! Ale spójrz na pozostałe! To najpiękniejsze kaczuśki, jakie kiedykolwiek widziałam! Wszystkie podobne do ojca, tego łobuza; w ogóle mnie nie odwiedza.

- Pokaż mi to jajko, które nie chce pęknąć - powiedziała stara kaczka. - Przecież to jajko indycze! Ja też tak się kiedyś dałam nabrać i miałam z małymi same kłopoty, bo musisz wiedzieć, że one się boją wody! Nie mogłam ich do niej wciągnąć, kwakałam, popychałam, nic nie pomagało. - Pokaż no to jajko! Tak, to indycze jajo. Zostaw je, ucz resztę dzieci pływania!

- Jednak jeszcze na nim posiedzę - powiedziała kaczka. - Skoro już tak długo siedziałam, to jeszcze trochę wytrzymam.

- Jak uważasz - powiedziała stara kaczka i poszła.

Wreszcie duże jajko pękło. - Pip! pip! - pisnęło maleństwo i wykaraskało się ze skorupki; było duże i brzydkie. Kaczka przyjrzała mu się. - Jakie ono okropnie wielkie! - powiedziała. - Inne tak nie wyglądają! Ale to chyba nie jest indyk. No nic, wkrótce to sobie wyjaśnimy! Pójdzie pływać, choćbym ja sama miała wepchnąć do wody!

Nazajutrz była piękna pogoda; słońce świeciło na zielone liście łopianu. Kacza mama z całą rodziną pojawiła się nad kanałem. Plusk! – wskoczyła do wody. – Kwa! kwa! – powiedziała, i kaczątko jedno za drugim pluskały za nią; woda nakrywała im główki, ale zaraz wynurzały się i pięknie pływały, nóżki same się poruszały. Wszystkie kacuszki były w wodzie, nawet brzydkie, szare pisklątka pływało z innymi.

– Nie, to nie indyk! – stwierdziła kaczka. – Proszę, jak ładnie rusza nogami, jak prosto się trzyma! To moje dziecko! W gruncie rzeczy, jak się dobrze przyjrzeć, jest całkiem ładne. Kwa, kwa! Chodźcie teraz ze mną, wprowadzę was w świat, przedstawię was na podwórku, ale cały czas trzymajcie się blisko mnie, żeby was ktoś nie nadepnął. I strzeżcie się kota!

No i przyszły na podwórko. Był tam okropny hałas, bo dwie rodziny biły się o głowę węgorza, a w końcu i tak złapał ją kot.

– Widzicie, tak to już jest na tym świecie! – westchnęła kacza mama, oblizując dziób, bo też miała ochotę na łeb węgorza. – No, nogi w ruch – powiedziała. – Uwijać się! I ukłońcie się tej starszej kaczce, o tam! Ona jest tu z wszystkich najszlachetniejsza! W jej żyłach płynie hiszpańska krew, dlatego jest taka gruba, widzicie, ma na nodze czerwoną szmatkę! To coś nadzwyczajnego, najwyższe wyróżnienie, jakie może dostać kaczka, znaczy to, że nie będą się jej pozbywać i że mają ją rozpoznawać zwierzęta i ludzie! No już, już! Nie stawiać nóg do środka! Dobrze wychowane kaczątko stawia nogi szeroko, jak mama i tata! O, popatrzcie! A teraz ukłońcie się i powiedzcie: kwa!

I tak zrobiły; ale inne kaczki przyglądały się im i głośno mówiły: – Patrzcie no! Jeszcze nam tu potrzebna ta zgraja! Jakby nas nie było dosyć! Fe, jak wygląda tamto kaczątko! Nie będziemy go tu znosić! – I natychmiast jedna z nich podfrunęła i dziobnęła kaczątko w kark.

– Zostawcie je! – zawołała matka. – Przecież nie robi nikomu nic złego!

– Ale jest za duże i wygląda dziwnie! – odparła kaczka, która je dziobnęła. – I dlatego będziemy mu dokuczać!

– Jakie ładne dzieci ma ta mama! – powiedziała stara kaczka ze szmatką na nodze. – Wszystkie z wyjątkiem jednego. To się nie udało. Życzyłabym sobie, żeby je odmieniła!

– To niemożliwe, Wasza Łaskawość! – powiedziała mama kacuzsek. – Nie jest piękne, ale ma dobry charakter, a jak pięknie pływa, nie gorzej niż inne, ba, nawet lepiej: myślę, że z czasem wypięknieje, albo trochę zmaleje. – I podrapała je dziobem w kark, i wygładziła piórka. – Poza tym jest kaczołem – dorzuciła – więc nie ma to większego znaczenia. Myślę, że będzie silny, na pewno da sobie radę!

– Pozostałe kacuszki są urocze – powiedziała stara kaczka. – Czujcie się jak w domu, a gdy znajdziecie głowę węgorza, możecie mi ją przynieść.

I odtąd czuły się jak w domu.

Ale kaczki i kury dziobały, poszturchiwały i wyśmiewały biedne kaczątko, które ostatnie wy dostało się ze skorupki i było takie brzydkie. – Jest za duże! – powtarzały, a indor, który urodził się z ostrogami i dlatego uważał, że jest cesarzem, napuszył się jak żagłowiec o postawionych żaglach i ruszył wprost na kaczątko, i tak gulgotał, że aż cały poczerwieniał. Biedne kaczątko nie śmiało ani stać w miejscu, ani chodzić; bardzo się smuciło, że jest takie brzydkie, że jest pośmiewiskiem całego podwórka.

Tak było pierwszego dnia, a potem już tylko gorzej i gorzej. Wszyscy prześladowali biedne kaczątko, nawet rodzeństwo było dla niego niedobre. – Żeby cię kot złapał, ty wstrętny potworze! – mówiły kacząta, a matka dodawała: – Byłoby lepiej, żebyś był gdzieś daleko! – Kaczki dziobały je, kury szczypały, a dziewczyna, która karmiła drób, kopała.

Wreszcie kaczątko rozpędziło się i przefrunęło przez płot; z krzaków wyleciały przerażone ptaszki. „To dlatego, że jestem takie brzydkie” – pomyślało kaczątko i zamknęło oczy, ale uciekało dalej, aż znalazło się nad wielkim bagnem, gdzie mieszkaly dzikie kaczki. Tam przeleżało całą noc, bo było bardzo zmęczone i smutne.

Rano dzikie kaczki wzleciały w powietrze i zaczęły przyglądać się nowemu towarzyszowi. – Coś ty za jeden? – spytały, a kaczątko kręciło się na wszystkie strony i witało się najgrzeczniej, jak umiało.

– Aleś ty brzydki! – stwierdziły dzikie kaczki. – Nic nas to nie obchodzi, chyba że będziesz próbował wżenić się w naszą rodzinę. – Biedactwo! Wcale nie myślało o żeniactwie, pragnęło tylko tego, żeby mu było wolno przebywać w sitowiu i napić się trochę wody z moczarów.

Spędziło tam całe dwa dni, aż zjawiły się dwie gęsi, a raczej gąsiory, bo były to samce; niedawno wykluły się z jej i dlatego były takie chwackie.

– Słuchaj no, kolego! – powiedziały. – Jesteś taki brzydki, że aż cię polubiliśmy. Chcesz być wędrownym ptakiem, dołączysz do nas? Tu, niedaleko, na innym bagnie, jest kilka uroczych, słodkich dzikich gąsek, same panienki, potrafią mówić: „Kwa!” Jesteś taki brzydki, że na pewno ci się poszczęści!

– Pif, paf! – rozległo się nad nimi w tej samej chwili i oba gąsiory padły martwe w sitowie, a woda nabrała koloru krwawej czerwieni. – Pif, paf! – zabrzmiało znowu i z sitowia wzleciały całe stada dzikich gęsi, a potem znów zadudniło. Odbывało się wielkie polowanie; myśliwi rozstawieni byli wokół bagna, ba, niektórzy siedzieli nawet na gałęziach drzew, wystających daleko nad sitowiem; błękitny dym niby obłoki przenikał między ciemne drzewa i snuł się hen nad wodą. W moczary wskoczyły myśliwskie psy – plusk! plusk! – sitowie i trzciny zakołysały się na wszystkie strony. Biedne kaczątko było przerażone. Wykręciło głowę, żeby ją schować pod skrzydło, aż tu nagle stanął przed nim przeraźliwie wielki pies, z pyska zwisał mu jeźor, oczy świeciły żółtawo; zbliżył do kaczątka mordę, wyszczerzył ostre zęby i – plusk! – popędził dalej.

– O, dzięki Bogu! – westchnęło kaczątko. – Jestem takie brzydkie, że nawet pies nie chce mnie ugryźć!

I siedziało cichutko, a śrut przeszywał sitowie i wystrzał grzmiał po wystrzale.

Dopiero późnym popołudniem wszystko ucichło, ale biedne kaczątko nie śmiało się podnieść, przeczekało jeszcze parę godzin, nim się rozejrzało, i pospiesznie, co sił w nogach, opuściło bagno. Biegło przez pole i przez łąkę; wiał silny wiatr, trudno mu było posuwać się do przodu.

Pod wieczór kaczątko dotarło do biednej chłopskiej chaty; była tak mizerna, że nie wiedziała nawet, na którą przewrócić się stronę, i tylko dlatego jeszcze stała. Wicher okropnie wył wokół kaczątka, i żeby mu stawić opór, musiało przysiąść na ogonie Dęło coraz mocniej; wtedy kaczątko zauważyło, że drzwi wyrwały się z jednego

zawiasu, wiszą krzywo i można przez szparę wślizgnąć się do środka. Tak też zrobiło.

W chatce mieszkała staruszka z kotem i z kwoką; kot, którego nazywała synkiem, umiał wyginać grzbiet w pałąk, a nawet sypać iskrami, ale trzeba go było pogłaskać pod włos. Kwoka miała małe, krótkie nóżki i dlatego nazywali ją Krótkonóżką; zносиła dużo jajek, a staruszka kochała ją jak własne dziecko.

Rano od razu zauważono obce kaczątko, kot zaczął mrużyć, a kwoka gdakać.

– A to co takiego! – wykrzyknęła staruszka i rozejrzała się dokoła, ale miała słaby wzrok i dlatego wydawało jej się, że kaczątko jest tłustą kaczką, która zbłądziła do chaty. – To mi zdobycz! – zawołała. – Będę teraz miała kaczki jaja, jeśli to tylko nie kaczor; musimy to sprawdzić.

I wystawiła kaczątko na trzytygodniową próbę, ale jaja się nie pojawiły.

Kot był panem domu, a kwoka panią, i ciągle powtarzali: „My i świat!”, bo myśleli, że są połową świata, i to lepszą. Kaczątko uważało, że można być innego zdania, ale kwoka nie mogła tego znieść.

– Umiesz znosić jajka? – spytała.

– Nie.

– No to zamknij dziób!

A kot zapytał:

– Umiesz wyginać grzbiet w pałąk, mrużyć i sypać iskrami?

– Nie.

– No to się nie odzywaj, kiedy mówią mądrzejsi!

Więc kaczątko siedziało w kącie i było w kiepskim humorze. Zaczęło wtedy rozmyślać o świeżym powietrzu, o słońcu i poczuło przedziwną chęć pływania po wodzie; na koniec nie mogło się już powstrzymać, musiało powiedzieć o tym kurze.

– Co się z tobą dzieje? – spytała. – Nie masz nic do roboty i dlatego głupstwa przychodzą ci do głowy! Znoś jajka albo mruż, to ci przejdzie.

– Ale tak cudownie jest pływać po wodzie! – powiedziało kaczątko. – Tak przyjemnie zanurzyć głowę i zanurkować na dno!

– To mi dopiero przyjemność! – odparła kura. – Chyba zwariowałeś! Spytaj kota, czy lubi pływać albo nurkować; on jest najmądrzejszy z wszystkich kotów, jakie znam. O sobie nie wspomnę! Spytaj nawet staruszkę, naszą gospodynię, nikt w świecie nie jest od niej mądrzejszy. Myślisz, że ma ochotę pływać, trzymać głowę pod wodą?

– Nie rozumiecie mnie – powiedziało kaczątko.

– Noo, jeśli my cię nie rozumiemy, to kto miałby cię zrozumieć! Nie jesteś chyba mądrzejszy od kota i od staruszki, nie mówiąc już o mnie! Nie stwarzaj problemów, dzieciaku! I dziękuj Stwórcy za całe dobro, jakie ci wyświadczyliśmy! Czy nie trafiłeś do ciepłej izby, czy nie masz towarzystwa, od którego możesz się czegoś nauczyć? Ale głuptas z ciebie, mieć z tobą do czynienia, to nic zabawnego! Chcę twojego dobra, możesz mi wierzyć, mówię ci niemiłe rzeczy, a po tym poznaje się prawdziwych przyjaciół. Postaraj się znosić jajka i naucz się mrużyć albo sypać iskry.

– Chyba sobie pójde w świat! – powiedziało kaczątko.

– No to sobie idź! – zawołała kura.

I kaczątko poszło; pływało po wodzie, nurkowało, ale inne stworzenia je ignorowały, bo było takie brzydkie.

Nadeszła jesień, liście w lesie pożółkły i zbrązowiały, porywał je wiatr, aż tańczyły w powietrzu, a powietrze było zimne; chmury wisiały nisko, ciężkie od gradu i śniegu, a na płocie siedział kruk i z zimna wołał: „Kra! kra!” Tak, już na samą myśl o tym można było nieźle zmarznąć; biednemu kaczątku z całą pewnością nie było łatwo.

Pewnego wieczoru, a słońce wtedy tak pięknie zachodziło, z krzaków wyłoniło się całe stado wspaniałych, wielkich ptaków. Kaczątko nigdy nie widziało tak pięknych ptaków, były lśniąco białe i miały długie, giętkie szyje; były to łabędzie. Wydały z siebie niezwykle dźwięki, rozpostarły wspaniałe, długie skrzydła i odleciały z tej zimnej krainy do cieplejszych krajów, do otwartych mórz. Wzniosły się wysoko, wysoko, a małe, brzydkie kaczątko poczuło się jakoś dziwnie; zakreśliło się w kółko na wodzie, wyciągnęło ku nim wysoko szyję i wydało z siebie krzyk tak mocny i dziwny, że aż się samo przestraszyło. Och, nie mogło zapomnieć tych pięknych ptaków, tych szczęśliwych ptaków, a kiedy na dobre zniknęły mu z oczu, zanurkowało do samego dna, a gdy wypłynęło, było jakby kimś innym. Nie wiedziało, jak nazywają się te ptaki ani dokąd odleciały, a jednak były mu bliskie jak nikt przedtem. Wcale im nie zazdrościło, nawet nie przyszłoby mu do głowy marzyć o takiej urodzie; byłoby szczęśliwe, gdyby choć kaczkę zechciały zaliczyć je do swojego grona – biedne, brzydkie stworzenie!

Nadeszła mroźna zima, och, jaka mroźna. Kaczątko musiało krążyć po wodzie, żeby całkiem nie zamarzała, ale każdej nocy przestrzeń, w której pływało, stawała się mniejsza i mniejsza; mroziło tak, że pokrywa lodowa aż trzeszczała. Żeby otwór się nie zamknął, kaczątko musiało bez przerwy przebierać nogami; na koniec osłabło, znieruchomiało i przymarzło do lodu.

Wczesnym rankiem przyszedł jakiś wieśniak, zobaczył je, drewniakiem rozbił lód na kawałki i zabrał kaczątko do domu, do żony. Tam je ocucili.

Dzieci chciały się z nim bawić, ale kaczątko myślało, że chcą mu zrobić krzywdę, zerwało się przerażone i wpadło wprost do miski z mlekiem; mleko rozlało się po izbie, gospodyni krzyczała i załamywała ręce, a wtedy kaczątko pofrunęło do maselnicy, potem dało nura w beczkę z mąką i z powrotem – och, jak wyglądało! Gospodyni krzyczała i goniła za nim z pogrzebaczem, dzieci jedno przez drugie chciały je złapać, och, jak się śmiały, jak krzyczały! Dobrze, że drzwi były otwarte, kaczątko wyfrunęło wprost między krzaki, w świeży śnieg – i tam leżało ledwo żywe.

Ale zbyt smutne byłoby opowiadanie o całej tej biedzie, o wszystkich nieszczęściach, jakich kaczątko musiało doświadczyć tej srogiej zimy. Kiedy słońce znów zaczęło przygrzewać, przebywało pośród trzciny na mokradłach; śpiewały skowronki, była piękna wiosna.

Wtedy kaczątko rozwinęło do lotu skrzydła; zaszumiały głośniejsze niż dawniej i mocno uniosły je w górę; nim się spostrzegło, znalazło się w dużym ogrodzie, gdzie kwitły jabłonie, gdzie pachniały kiście bzu, zwieszające się na długich, zielonych gałęziach nad krętymi kanałami. Och, jak tu było świeżo i pięknie, jak wiosennie! Nagle z gęstwiny wyłoniły się trzy cudne, białe łabędzie, napuszyły pióra i lekko popłynęły po wodzie. Kaczątko poznało te wspaniałe stworzenia i naszedł je dziwny smutek.

– Chcę do nich pofrunąć, do tych królewskich ptaków! Zdziobią mnie, bo śmiałem się do nich zbliżyć, ja, taki brzydka!; ale wszystko mi jedno, wolę, żeby mnie one zabiły niż żeby mnie szczypały kaczki, dziobały kury, kopała dziewczyna, która karmi drób, i żebym cierpiał w zimie. – I sfrunęło na wodę i popłynęło ku wspaniałym łabędziom, a one zobaczyły je i ruszyły ku niemu z napuszonymi piórami. – Zabijcie mnie – powiedziało biedne stworzenie, opuściło głowę ku powierzchni wody i czekało na śmierć, ale co ujrzało w przezroczystej wodzie? Swoje własne odbicie! Tylko że nie było już niezdarnym, czarnoszarzym ptakiem, brzydkim i odrażającym, ono także było łabędziem!

Nieważne, że przychodzi się na świat na kaczym podwórku, skoro się wyklęło z łabędziego jaja.

Naprawdę nie żałowało cierpień i przeciwności losu, których doświadczyło; teraz potrafiło docenić swoje szczęście, wszystkie cudowności, które je czekały. A duże łabędzie pływały dookoła niego i głaskały je dziobami.

Do ogrodu przyszło kilkoro małych dzieci, rzucały do wody chleb i ziarno, a najmłodsze zawołało:

– Jest nowy łabędź! – A inne dzieci cieszyły się razem z nim: – Tak! Nowy przyleciał! – I klaskały w ręce i tańczyły w kółko, a potem pobiegły po tatę i mamę i razem rzucali do wody chleb i ciastka i zgodnie stwierdzili: – Ten nowy jest najpiękniejszy! Taki młody, cudny! – A stare łabędzie mu się pokłoniły.

Bardzo się wtedy zawstydział, schował głowę pod skrzydło, nie wiedział, co robić; był zbyt szczęśliwy, lecz wcale nie dumny, bo dobre serce nigdy nie jest pyszne. Myślał o tym, jak go prześladowano i wyszydzano, teraz słyszy, jak mówią, że jest najpiękniejszy z wszystkich pięknych ptaków. Bzy pochyliły ku niemu, do samej wody, swoje gałęzie, a słońce grzało tak mocno, tak cudnie; wtedy napuszył pióra, wyciągnął w górę smukłą szyję i zawołał z głębi serca: – O takim szczęściu nawet nie śniłem, gdy byłem brzydkim kaczętkiem!

Hans Christian Andersen

## *Dziewczynka z zapalkami*

H. Ch. Andersen, *Baśnie i opowieści*, Poznań 2006, t. 1, s. 431-433.

Było okropnie zimno; padał śnieg, nadchodził ciemny wieczór. Był to ostatni wieczór w roku, wigilia Nowego Roku. W tym zimnie, w tej ciemności szła ulicą mała, biedna dziewczynka z gołą głową i bosymi nóżkami; wychodząc z domu miała co prawda na nogach łapcie, ale cóż z tego! To były bardzo duże łapcie, przed nią nosiła je jej mama, takie były duże. No i spady dziewczynce z nóg, gdy w pośpiechu przebiegła przez ulicę, którą z szaloną szybkością pędziły dwa wozy. Jednego łapcia nie mogła odnaleźć, a z drugim uciekł jakiś chłopak; powiedział, że przyda mu się na kołyskę, kiedy będzie miał dzieci.

Więc poszła dalej boso, a stópki miała sine i czerwone z zimna. W starym fartuszkuniosła całą masę zapalek, a jedną wiązkę trzymała w dłoni. Przez cały dzień nikt nic nie kupił, nikt nie dał jej ani grosika. Szła głodna, przemarznięta i wyglądała tak smutno, biedactwo! Płatki śniegu padały na jej długie, jasne włosy, pięknie wijące się na szyi, ale ona zupełnie o tym nie myślała. We wszystkich oknach paliły się światła, a na ulicy tak pięknie pachniało pieczoną gęsią; była wigilia Nowego Roku, tak, o tym myślała.

Przycupnęła w załomie między dwoma domami, z których jeden trochę bardziej wystawał na ulicę, i skuliła się; małe nóżki podkurczyła pod siebie, ale marzła jeszcze bardziej, a nie śmiała wracać do domu. Nie sprzedała przecież ani jednej zapalki, nie dostała ani grosika, ojciec by ją zbił, a i w domu też było zimno, mieszkali na strychu pod dachem i wiatr wciskał się do środka, chociaż w największe szpary popychana była słoma i szmaty. Jej rączki były jak obumarłe z zimna. Ach, jak pomogłaby jedna mała zapalka! Tylko ośmielić się i wyjąć ją z wiązki, potrzeć o ścianę i ogrzać palce. Wyjęła zapalkę, trzask!, jak się roziskrzyła, jak się paliła! Gdy osłaniała ją ręką, zapalka była jak ciepły, jasny płomień, jak maleńka świeczka; dziwne to było światło! Dziewczynce zdawało się, że siedzi przed wielkim, żeliwnym piecem z lśniącymi ozdobami z mosiądzu; ogień tak cudnie płonął, tak mocno grzał. Nagle – co to? Dziewczynka już wyciągnęła nóżki, żeby je także ogrzać – i płomień zgasł. Piec zniknął, a ona siedziała z resztką wypalonej zapalki w dłoni.

Potarła następną, zapalka zapłonęła, zajaśniała, a tam, gdzie światło padło na mur, mur stawał się przezroczysty jak gaza. Dziewczynka zajrzała wprost do jadalni, gdzie stał stół nakryty śnieżnobiałym obrusem i piękną porcelaną, i gdzie cudownie dymila pieczona gęś nadziewana jabłkami i śliwkami. Jeszcze wspanialsze było to, że gęś wyskoczyła z półmiska i kolebiąc się, z nożem i widelcem w grzbiecie przemierzała podłogę wprost do biednej dziewczynki. Wtedy zapalka zgasła i widać było tylko zimny, gruby mur.

Dziewczynka zapaliła nową zapalkę. I oto siedziała pod wspaniałą choinką; była jeszcze większa i piękniej ozdobiona niż ta, którą w Boże Narodzenie zobaczyła przez oszklone drzwi w domu bogatego kupca. Na zielonych gałęziach płonęły tysiące świeczek, a z góry spoglądały ku niej kolorowe obrazki, podobne do tych, które zdobiły okna sklepów. Dziewczynka wyciągnęła w górę obie ręce – i zapalka zgasła.

Choinkowe świecek nosiły się coraz wyżej i wyżej, dziewczynka spostrzegła, że były teraz jasnymi gwiazdami na niebie, a jedna z nich spadła, rysując długi, lśniący ślad.

- Ktoś umiera! - powiedziała dziewczynka, bo babka, która jedyna była dla niej dobra, ale już umarła, mawiała, że kiedy spada gwiazda, to jakaś dusza idzie do Boga.

Dziewczynka znów potarła o mur zapalką, która rozjaśniła wszystko wokół, a w tym blasku stanęła przed nią babka, taka wyraźna, taka jasna, łagodna i kochana.

- Babciu! - zawołała dziewczynka. - Zabierz mnie z sobą! Wiem, że znikniesz, gdy zgaśnie zapalka, tak samo jak piec, pyszna gęś i ta wielka, piękna choinka. - I w pośpiechu potarła całą resztę zapalek, jakie zostały w wiązce - chciała zatrzymać babcię. A zapalki zapłonęły takim światłem, że było jaśniej niż w biały dzień. Babka nigdy przedtem nie była tak piękna, wysoka; wzięła dziewczynkę na ręce i wzniosły się w blasku i w szczęściu wysoko, wysoko; a tam nie było ani zimna, ani głodu, ani strachu - były u Pana Boga!

A w załomie domu siedziała w zimny poranek mała dziewczynka o czerwonych policzkach, z uśmiechem na ustach - umarła; zamarła na śmierć w ostatni wieczór starego roku. Ranek Nowego Roku wstał nad małą postacią siedzącą z zapalkami, których wiązka była prawie cała wypalona. Chciała się ogrzać, mówili ludzie. Nikt nie wiedział, jakie piękne widziała rzeczy i w jakiej glorii wstąpiła razem ze swoją starą babką w szczęśliwość Nowego Roku.



Hans Christian Andersen

## Świniopas

H. Ch. Andersen, *Baśnie i opowieści*, Poznań 2006, t. 1, s. 254-257.

Był sobie raz ubogi książę. Miał księstwo, maleńkie, lecz wystarczająco duże, by mógł się ożenić. A żenić się bardzo chciał.

Było to co prawda dość śmiało z jego strony, że odważył się spytać córkę cesarza: „Czy zechcesz mnie?“, ale się odważył, bo jego imię było sławne w świecie, setki księżniczek powiedziałyby „tak“, ale zobaczmy, czy zgodziła się cesarska córka.

Posłuchajmy.

Na grobie ojca księcia rośło różane drzewko, bardzo piękne różane drzewko. Zakwitało tylko raz na pięć lat, i to jednym jedynym kwiatem. Ale było to róża, która pachniała tak słodko, że kto ją powąchał, zapominał o wszystkich swoich troskach i zmartwieniach. Książę miał też słowika, który śpiewał, jakby w gardziółku miał wszystkie najpiękniejsze melodie. Tę właśnie różę i tego słowika miała otrzymać księżniczka. Prezenty zapakowano więc do dużych srebrnych szkatułek i posłano jej.

Cesarz rozkazał przynieść szkatułki do wielkiej sali, gdzie księżniczka bawiła się z damami dworu w gości; niczym innym się nie zajmowały. Gdy ujrzała szkatułki, zaklaskała z radości.

- Żeby to był kotek! - zawołała. - Ale jej oczom ukazała się piękna róża.

- Och, jak ładnie zrobiona! - wykrzyknęły damy dworu.

- Jest więcej niż ładna - powiedział cesarz. - Jest bardzo ładna.

Ale księżniczka dotknęła róży i już była bliska płaczu.

- A fe, papo! - zawołała. - Ona nie jest sztuczna, tylko prawdziwa!

- Zanim zaczniemy się złościć, zobaczmy, co jest w drugiej szkatułce - powiedział cesarz, i pokazano słowika. Zaśpiewał tak pięknie, że w pierwszej chwili nic złego nie można było o nim powiedzieć.

- *Superbe! Charmant!* - wykrzykiwały damy, bo wszystkie mówiły po francusku, jedna gorzej od drugiej.

- Jakże mi ten ptak przypomina pozytywkę świętej pamięci cesarzowej - powiedział pewien starszy dworzanin. - Ten sam ton, ten sam wyraz.

- O, tak - powiedział cesarz i zapłakał jak małe dziecko.

- Ale nie jest chyba prawdziwy? - spytała księżniczka.

- Tak, to prawdziwy ptak! - stwierdzili ludzie, którzy go przynieśli.

- No to niech sobie leci - powiedziała księżniczka i nie zgodziła się na spotkanie z księciem.

Ale książę się nie zniechęcił. Posmarował sobie twarz na czarno i na brązowo, naciągnął na oczy czapkę i zapukał do drzwi.

- Dzień dobry, cesarzu - powiedział. - Czy mógłbym służyć tu, na zamku?

- Och, tak wielu szuka tu pracy - odpowiedział cesarz. - Ale zastanówmy się. Potrzebuję kogoś do pasania świń, bo świń mamy dużo.

I tak książę został zatrudniony jako cesarski świniopas. Dostał małą, brzydką izdebkę obok chlewu i w niej miał zamieszkać. Przez cały dzień pracował, a kiedy

nadszedł wieczór, zrobił mały garnuszek, który miał wkoło dzwoneczki. Gdy tylko w garnuszku się gotowało, dzwoneczki cudnie wydzwaniały starą melodię:

*Ach, kochany Augustynie,  
Wszystko minie, minie, minie!*

Ale najdziwniejsze było to, że gdy się trzymało palec nad parą, to od razu można było poczuć, jakie potrawy gotowano na wszystkich piecach w mieście; widzicie, to coś całkiem innego niż jakaś tam róża.

Księżniczka była właśnie na spacerze ze swoimi damami dworu i gdy usłyszała melodię, przystanęła. Wyglądała na bardzo ucieszoną, bo ona też umiała grać *Ach, kochany Augustynie*; tę jedną jedyną melodię potrafiła zagrać, i to jednym palcem.

- To przecież melodia, którą gram! - wykrzyknęła. - To musi być wykształcony świniopas! Słuchajcie no! Idźcie do niego i spytajcie, ile kosztuje ten instrument.

No i jedna z dam musiała pójść, ale włożyła na nogi drewniaki.

- Ile chcesz za ten garnek? - spytała.

- Dziesięć pocałunków księżniczki - odpowiedział świniopas.

- Niech Bóg broni! - zawołała dama dworu.

- Ani jednego mniej! - odparł świniopas.

- No, co mówił? - spytała księżniczka.

- Nie mogę tego powiedzieć, to okropne!

- No to szepnij! - powiedziała księżniczka. - No i dama dworu szepnęła.

- Jaki on niegrzeczny! - zawołała księżniczka i natychmiast chciała odejść. Ale gdy uszła kawałek, dzwoneczki pięknie zabrzmiały:

*Ach, kochany Augustynie,  
Wszystko minie, minie, minie!*

- Posłuchaj! - powiedziała księżniczka. - Spytaj go, czy przyjmie dziesięć pocałunków moich dam dworu.

- Nie, dziękuję - odparł świniopas. - Dziesięć pocałunków księżniczki albo zatrzymuję garnek.

- Co za okropna historia! - zawołała księżniczka. - No to musicie zasłonić mnie tak, żeby nikt tego nie widział.

Damy dworu otoczyły ją i rozpostarły suknie, i świniopas dostał tych dziesięć całusów, a księżniczka garnek.

Ach, to dopiero była radość! W garnku gotowało się przez cały wieczór i przez cały następny dzień; nie było ani jednego pieca w mieście, o którym by nie wiedziały, co się na nim gotuje, i u szambelana, i u szewca. Damy tańczyły i klaskały.

- Wiemy, kto będzie jadł słodką zupę i naleśniki! Wiemy, kto będzie jadł sznycel z kaszą! Jakże to interesujące!

- Niezwykle interesujące! - powiedziała ochmistrzyni.

- Tylko trzymajcie język za zębami, bo jestem cesarską córką.

- Niech nas Bóg broni! - zawołały damy.

Świniopas, to jest księżę, ale przecież damy były przekonane, że jest prawdziwym świniopasem, nie marnował czasu, bez przerwy coś majstrował. Zrobił grzechotkę. Gdy się nią potrzęsało, dźwięczały wszystkie walce, galopki i polki, jakie znano od początku świata.

- Ależ to jest *superbe!* - zawołała księżniczka, która właśnie znalazła się w pobliżu. - Nigdy nie słyszałam piękniejszej kompozycji! Słuchajcie! Idźcie go spytać, ile kosztuje ten instrument. Ale żadnych pocałunków.

- Chce sto pocałunków księżniczki! - powiedziała dama, która poszła zapytać.

- Chyba zwariował! - zawołała księżniczka i ruszyła z miejsca. Ale gdy uszła parę kroków, zatrzymała się. - Trzeba wspierać sztukę - powiedziała. - Jestem córką cesarza! Powiedzcie mu, że może dostać dziesięć całusów, tak jak wczoraj, a resztę od dam dworu.

- Ale my wolałybyśmy nie! - poprosiły damy.

- Gadanie! - powiedziała księżniczka. - Poza tym, jeśli ja mogę go całować, to i wy możecie. Nie zapominajcie, że daję wam pensję i utrzymanie. - No i damy znów musiały iść do świniopasa.

- Sto pocałunków księżniczki! - powiedział. - Albo każdy zostaje przy swoim.

- Zasłaniajcie! - zarządziła księżniczka, i damy ją zasłoniły, a księżę całował.

- Co to za zbiegowisko koło chlewu? - spytał cesarz, który wyszedł na balkon. Przetarł oczy i założył okulary. - To przecież damy dworu! Muszę do nich zejść. - I naciągnął na pięty kapcie, a były to przydeptane buty.

Ho, ho! Jak się śpieszył!

Gdy tylko znalazł się na podwórku, zaczął iść cichutko, a damy dworu były tak zajęte liczeniem pocałunków, żeby było uczciwie i żeby świniopas nie dostał ich za dużo, ale i nie za mało, że w ogóle nie zauważyły cesarza. A cesarz stanął na palcach.

- A to co takiego?! - wykrzyknął, gdy zobaczył, że się całują. I trzepnął ich po głowach swoim kapciem, akurat gdy świniopas dostawał osiemdziesiątego szóstego całusa. - *Heraus!* - zawołał cesarz, bo był zły, i zarówno świniopas, jaki i księżniczka zostali wygnani poza granice cesarstwa.

Stała tam teraz i płakała, świniopas się zżymał, a z nieba strugami lał się deszcz.

- O, ja nieszczęsna! - biadała księżniczka. - Że też nie wzięłam za męża tego pięknego księcia! Och, jaka jestem nieszczęśliwa!

A świniopas schował się za drzewo, wytarł z twarzy czernidło, zrzucił z siebie ubogie odzienie i ukazał się w swych książęcych szatach, tak piękny, że księżniczka musiała się na jego widok uklonić.

- Teraz to ja tobą gardzę! - powiedział. - Nie chciałaś uczciwego księcia. Nie poznałaś się na róży i na słowiku, ale świniopasa mogłaś całować, żeby dostać zabawkę. A teraz dobrze ci tak!

I odszedł do swojego księstwa, zamknął przed nią drzwi i założył łańcuch; niech sobie stoi na zewnątrz i śpiewa:

*Ach, kochany Augustynie,  
Wszystko minie, minie, minie!*

Wilhelm i Jakub Grimm

## *Kopciuszek*

W. i J. Grimm, *Baśnie dla dzieci i dla domu*, Poznań 2010, t. 1, s. 126-135.

Pewnemu bogatemu człowiekowi rozchorowała się żona. Gdy poczuła, że zbliża się jej koniec, zawołała do siebie swoją jedyną córeczkę i powiedziała:

- Drogie dziecko, bądź pobożna i dobra, wtedy Pan Bóg będzie cię zawsze wspierał, a ja także będę patrzeć na ciebie z nieba i czuwać nad tobą.

Po tych słowach zamknęła oczy i odeszła. Dziewczyna co dzień chodziła na grób matki i płakała, a była pobożna i dobra. Gdy nastala zima, śnieg przykrył mogiłę białą kołderką, a gdy wiosenne słońce zdjęło kołderkę, ojciec wziął sobie inną kobietę.

Kobieta ta przyprowadziła ze sobą dwie córki o pięknych białych liczkach, ale nieczułych czarnych sercach. I tak zaczął się zły czas dla biednej pasierbicy.

- Czyż ta głupia gęś ma przesiadywać z nami w izbie? - pytały. - Kto chce jeść chleb, ten musi nań zarobić. Wynoś się stąd, dziewczko kuchenna!

Odebrały jej piękne stroje, nałożyły szary fartuch i dały drewniane chodaki.

- Patrzcie, jak się jaśnie pani wystroiła! - wołały, śmiejąc się, i zaprowadziły ją do kuchni.

Tam od rana do nocy musiała ciężko pracować: wstawać wcześniej rano, przynosić wodę, rozpalać w piecu, gotować i prac. Na dodatek siostry dokuczały jej, jak tylko mogły, drwiły z niej i wsypywały groch z soczewicą do popiołu, a ona musiała potem ślezczyć, wybierając ziarenka. Wieczorami, gdy była zmęczona całodzienną pracą, nie mogła pójść spać do łóżka, lecz musiała kłaść się obok pieca w popiele. A że z tego powodu zawsze była brudna i usmolona, nazwały ją Kopciuszką.

Zdarzyło się, że ojciec, wyruszając na targ, zapytał swoje dwie pasierbice, co ma im przywieźć.

- Piękne stroje - powiedziała jedna.

- Perły i drogie kamienie - powiedziała druga.

- A tobie, Kopciuszkę? - zapytał. - Co ty byś chciała?

- Ojciec, ułam mi pierwszą gałązkę, która po drodze zaczepi o twój kapelusz.

Kupił więc dla obydwu pasierbic piękne stroje, perły i drogie kamienie, a w drodze powrotnej, gdy jechał konno przez zielone zarośla, trąciła go gałązka leszczyny i zrzuciła mu kapelusz. Odłamał więc gałązkę i zabrał ją ze sobą. Gdy przybył do domu, dał pasierbicom, co sobie życzyły, a Kopciuszkowi wręczył gałązkę z leszczynowego krzaka. Kopciuszek podziękował, poszedł na grób swojej matki i zasadził tam gałązkę, a płakał tak bardzo, że łzy spływały na ziemię i podlewały roślinę. Gałązka wyrosła i stała się pięknym drzewem. Kopciuszek trzy razy dziennie chodził pod drzewo, płakał i modlił się. Za każdym razem na drzewie siadał biały ptaszek, a gdy dziewczyna wypowiedziała jakieś życzenie, ptaszek przynosił jej to, czego sobie zażyczyła.

Zdarzyło się, że król wyprawiał przyjęcie, które miało trwać trzy dni. Zaproszono wszystkie piękne panny z całego kraju, żeby jego syn mógł wyszukać sobie narzeczoną. Gdy pasierbice usłyszały, że również one mają zjawić się na przyjęciu, ucieszyły się, zawołały Kopciuszkę i powiedziały:

- Uczesz nam włosy, wyczyść buty i pozapinaj sprzączki. Idziemy na bal do królewskiego zamku.

Dziewczyna posłuchała, ale popłakała się, bo też chętnie poszłaby na tańce, i prosiła macochę, żeby jej na to pozwoliła.

- Ty, Kopciuszku - powiedziała macocha - cała jesteś powalana i brudna i ty chcesz na bal? Nie masz sukni ani butów, a chcesz tańczyć!

Gdy jednak dziewczyna nie przestawała prosić, macocha rzekła w końcu:

- Wsypałam ci miskę soczewicy do popiołu. Jeśli ją w dwie godziny wybierzesz, to pójdziesz z nami.

Dziewczyna wyszła przez drzwi kuchenne do ogrodu i zawołała:

*Moje gołąbeczki, miłe turkaweczki,  
Ziarna przebrać trzeba.  
Dobre do garnuszka,  
Złe ziarnka do brzuszka,  
Sfruńcie do mnie z nieba!*

Wtedy przez kuchenne okno wleciały dwa białe gołąbki, za nimi turkawki, a w końcu przyleciały do kuchni wszystkie podniebne ptaki i obsiadły popiół. Gołąbki pokiwały główkami i zaczęły „dziób, dziób, dziób”, a wtedy pozostałe ptaki również zaczęły „dziób, dziób, dziób” i wybierały wszystkie dobre ziarenka do miski. Nie minęła godzina, a skończyły pracę i odleciały. Dziewczyna zaniósła miskę macosze, ciesząc się i wierząc, że teraz będzie mogła iść na bal.

- Nie, Kopciuszku, nie masz ubrań i nie umiesz tańczyć. Byłabyś pośmiewiskiem - powiedziała macocha.

Gdy dziewczyna rozplakała się, macocha rzekła:

- Jeśli wybierasz mi dwie pełne miski soczewicy z popiołu, pójdziesz z nami.

Myślała jednak: „Przecież ona nie da sobie rady”. Ale gdy wsypała jej dwie miski soczewicy do popiołu, dziewczyna wyszła przez drzwi kuchenne do ogrodu i po raz drugi zawołała:

*Moje gołąbeczki, miłe turkaweczki,  
Ziarna przebrać trzeba.  
Dobre do garnuszka,  
Złe ziarnka do brzuszka,  
Sfruńcie do mnie z nieba!*

I znów przez kuchenne okno wleciały dwa białe gołąbki, za nimi turkawki, a w końcu przyleciały do kuchni wszystkie podniebne ptaki i obsiadły popiół. Gołąbki pokiwały główkami i zaczęły „dziób, dziób, dziób” i wybierały wszystkie dobre ziarenka do miski. Nie minęło pół godziny, a skończyły pracę i odleciały. Dziewczyna zaniósła miski macosze, ciesząc się i wierząc, że teraz będzie mogła iść na bal.

- Nic ci to nie pomoże - powiedziała macocha. - Nie pójdziesz z nami, bo nie masz sukni i nie umiesz tańczyć. Tylko wstyd byś nam przyniosła.

Odwróciła się do niej plecami i wraz ze swymi wyniosłymi córkami pospieszyła do zamku.

Gdy już nikogo nie było w domu, Kopciuszek poszedł na grób matki pod leszczynę i zawołał:

*Zlituj się, drzewko, nad sierotą,  
Strząśnij z gałęzi srebro i złoto...*

Wtedy ptaszek zrzucił jej suknię ze słota i srebra oraz pantofle wyszywane jedwabiem i srebrem. W wielkim pośpiechu dziewczyna włożyła suknię i pobiegła na bal. Siostry i macocha nie rozpoznały jej i myślały, że musi to być jakaś królewna z obcego kraju, bo tak pięknie wyglądała w złotej sukni. W ogóle nie myślały o Kopciuszku. Były pewne, że usmolony Kopciuszek siedzi teraz w domu i szuka soczewicy w popiele.

A tymczasem królewicz wyszedł naprzeciw dziewczynie, wziął ją za rękę i tańczył z nią. Nie chciał tańczyć z nikim innym, nie wypuszczał jej ręki, a gdy podchodził inny, prosząc ją do tańca, mówił:

- To moja tancerka!

Dziewczyna tańczyła, aż zrobił się wieczór. Wtedy chciała wracać do domu. Królewicz powiedział jednak:

- Pójdę cię odprowadzić.

Chciał bowiem zobaczyć, czyja jest ta piękna dziewczyna. Uciekła mu jednak i wskoczyła do gołębnika. Królewicz stanął obok i czekał. I wtedy nadszedł ojciec Kopciuszka. Królewicz powiedział mu, że nieznamoma dziewczyna wskoczyła do gołębnika. Stary pomyślał sobie: „Czy to przypadkiem nie Kopciuszek?”

Ludzie przynieśli mu siekiere i oskard, żeby mógł przepołowić gołębnik, ale nikogo nie było w środku. Gdy rodzina wróciła z balu do domu, Kopciuszek leżał w swoim brudnym ubraniu w popiele, wąż światła jarzyło się w kominie. Kopciuszek zdążył bowiem wcześniej wyskoczyć z gołębnika, pobiec do leszczyny, zdjąć piękną suknię i położyć ją na grobie. Ptaszek zabrał suknię ze sobą, a dziewczyna wróciła do kuchni i siadła w popiele w swym szarym fartuszk.

Następnego dnia, gdy przyjęcie rozpoczęło się na nowo, a rodzice i siostry przyrodnie znowu poszli do zamku, Kopciuszek poszedł pod leszczynę i powiedział:

*Zlituj się, drzewko, nad sierotą,  
Strząśnij z gałęzi srebro i złoto...*

I wtedy ptak zrzucił z leszczyny suknię jeszcze bardziej wytworną niż poprzedniego dnia. A gdy Kopciuszek zjawił się w tej sukni na balu, wszyscy byli zdumieni urodą dziewczyny. Królewicz już na nią czekał, wziął ją zaraz za rękę i tańczył tylko z nią. Gdy przychodzili inni i prosili ją do tańca, mówił:

- To moja tancerka.

Gdy nastał wieczór, dziewczyna postanowiła wyjść, a królewicz poszedł za nią, bo chciał zobaczyć, do jakiego domu wejdzie. Ale dziewczyna uciekła i skryła się w ogrodzie za domem. Rosło tam piękne, wielkie drzewo, na którym wisiały dorodne gruszki. Dziewczyna wspięła się na gałęzię zwinnie niczym wiewiórka, a królewicz nie wiedział, gdzie się schowała. Stał jednak i czekał, aż przyszedł ojciec Kopciuszka.

- Nieznajoma dziewczyna uciekła i myślę, że wspięła się na gruszę - powiedział królewicz.

„Czy to nie Kopciuszek?” - pomyślał ojciec.

Kazał przynieść sobie siekiere i ściął drzewo, ale nikogo na nim nie było. A gdy weszli do kuchni, Kopciuszek leżał w popiele tak jak ostatnim razem, bo zdążył zeskoczyć z drugiej strony drzewa, odnieść ptakowi na leszczynie piękne suknie i zawiązać swój szary fartuszek.

Trzeciego dnia, gdy rodzice i siostry wyszli, Kopciuszek znowu poszedł na grób matki i powiedział do drzewka:

*Zlituj się, drzewko, nad sierotą,  
Strząśnij z gałęzi srebro i złoto...*

Ptaki znów zrzuciły mu suknię, która była tak wspaniała i błyszcząca jak nigdy dotąd, a pantofle tym razem były całe ze złota. Gdy przybyła na bal w tej sukni, wszyscy oniemieli ze zdziwienia. Królewicz tańczył tylko z nią, a gdy ktoś inny prosił ją do tańca, mówił:

- To moja tancerka.

Kiedy nastał wieczór i Kopciuszek postanowił wyjść, królewicz zamierzał ją odprowadzić, ale dziewczyna uciekła mu tak szybko, że nie mógł za nią nadążyć. Królewicz jednak użył podstępny i kazał wcześniej posmarować całe schody smołą. I gdy dziewczyna zbiegała po schodach, jej lewy pantofelek utknął w gęstej mazi. Królewicz podniósł go, a wtedy ujrzał, że był mały, delikatny i cały złoty. Następnego dnia królewicz poszedł z nim do ojca Kopciuszka i powiedział:

- Moją żoną nie zostanie żadna inna, tylko ta, na której nogę pasuje ten złoty pantofel.

Obie siostry ucieszyły się, bo miały piękne stopy. Najstarsza poszła z butem do pokoju, żeby go przymierzyć, a jej matka stała obok. Nie mogła jednak wcisnąć do środka wielkiego palca, a but był na nią za mały. Matka wręczyła jej nóż, mówiąc:

- Odrąb palec. Gdy będziesz królową, nie będziesz musiała chodzić piechotą.

Dziewczyna odrąbała palec, wcisnęła stopę do buta, zagryzła z bólu zęby i wyszła do królewicza. Wziął ją więc na swojego konia jako narzeczoną i odjechał. Po drodze musieli jednak minąć grób, a tam na leszczynie siedziały dwa gołąbki i wołały:

*Grrochu-grrochu, krew jest w bucie,  
Nie wystarczy palec uciąć,  
Stopa cała poraniona.  
W domu siedzi narzeczoną!*

Królewicz spojrział na jej stopę i zobaczył, że płynie z niej krew. Zawrócił konia, odwiózł fałszywą narzeczoną do domu i powiedział, że to nie ta i że druga siostra ma przymierzyć pantofel. Poszła więc do pokoju i szczęśliwie udało jej się wcisnąć palce, ale pięta była za duża. Matka podała jej nóż i powiedziała:

- Odrąb kawałek pięty. Gdy będziesz królową, nie będziesz musiała chodzić piechotą.

Dziewczyna odrąbała kawałek pięty, wcisnęła stopę do buta, zagryzła z bólu zęby i wyszła do królewicza. Wziął ją jako swą narzeczoną na konia i odjechał z nią. Gdy mijali leszczyne, siedziały na niej dwa gołąbki i wołały:

*Grrochu-grrochu, krew jest w bucie,  
Nie wystarczy piętę uciąć,  
Stopa cała poraniona.  
W domu siedzi narzeczona!*

Królewicz spojrział na jej stopę i zobaczył, że krew wypływa z buta, plamiąc białe pończochy. Zawrócił konia i odwiózł do domu fałszywą narzeczoną.

- Również i ta nie jest prawdziwa - powiedział. - Czy nie macie innej córki?

- Nie - odpowiedział ojciec - tylko po mojej zmarłej żonie ostał się jeszcze mały nierozgarnięty Kopciuszek. Ale to na pewno nie jest narzeczona.

Królewicz kazał ją przysłać, ale macocha powiedziała:

- O nie, ona jest zbyt brudna, żeby się ludziom pokazywać na oczy.

Królewicz upadł się jednak i trzeba było zawołać Kopciuszka. Dziewczyna umyła sobie najpierw ręce i twarz, wyszła i skłoniła się królewiczowi, który wręczył jej złoty pantofel. Usiadła na stołku, wyjęła stopę z ciężkiego chodaka i włożyła ją do pantofelka, który leżał jak ulał. A gdy podniosła się, królewicz zajrzał jej w twarz, rozpoznał piękną dziewczynę, z którą tańczył, i zawołał:

- To jest prawdziwa narzeczona!

Macocha i obydwie siostry przeraziły się i pobladły ze złości. A on wziął Kopciuszka na konia i odjechał z nim. Gdy mijali leszczyne, białe gołąbki zawołały:

*Grrochu-grrochu, but jak ulał,  
Przysłż żonę wieź do króla!  
Stopa nie jest poraniona.  
W siodle siedzi narzeczona!*

A gdy to wyśpiewały, sfrunęły z drzewa i usiadły na ramionach Kopciuszka, jeden po prawej, a drugi po lewej stronie. I tak już zostały.

Gdy miało się odbyć wesele z królewiczem, fałszywe siostry zjawiły się, chcąc się przypodobać i mieć udział w szczęściu Kopciuszka. Gdy narzeczeni szli do kościoła, starsza siostra szła po prawej, a młodsza po lewej stronie. Wtedy gołębie wydziobały im po jednym oku. Gdy wychodzili z kościoła, starsza szła po lewej, a młodsza po prawej stronie. Wtedy gołębie wydziobały każdej z nich po drugim oku. I tak zostały ukarane na całe życie za swoją złość i obłudę.



Wilhelm i Jakub Grimm

## *Czerwony Kapturek*

W. i J. Grimm, *Baśnie dla dzieci i dla domu*, Poznań 2010, t. 1, s. 147-151.

Żyła raz mała słodka dziewczynka, którą lubił każdy, kto ją tylko ujrzał. A najbardziej lubiła ją babcia, która już sama nie wiedziała, co mogłaby jeszcze podarować dziecku. Pewnego razu ofiarowała jej kapturek z czerwonego aksamitu, a ponieważ małej było w nim do twarzy, dziewczynka nie chciała już niczego innego nosić i zwano ją odtąd Czerwonym Kapturkiem. Pewnego dnia matka powiedziała do dziewczynki:

- Chodź, Czerwony Kapturku, masz tu kawałek ciasta i butelkę wina. Zanieś to babci. Jest chora i słaba, może się tym wzmocni. Ruszaj, zanim zrobi się upał, a gdy będziesz szła, to idź grzecznie i nie schodź z drogi, bo upadniesz, rozbijesz szkło i dla babci nic nie zostanie. A gdy wejdiesz do izby, nie zapomnij powiedzieć „dzień dobry” i nie zagląдай od razu do wszystkich kątów.

- Zrobię wszystko, jak należy – powiedział Czerwony Kapturek i potwierdził to uściskiem dłoni.

Babcia mieszkała za wsią w lesie, pół godziny drogi od domu. Gdy Czerwony Kapturek wszedł do lasu, natknął się na wilka. Dziewczynka nie wiedziała, jakie to złe zwierzę, i nie bała się go.

- Jak się masz, Czerwony Kapturku? – spytał wilk.

- Dobrze, dziękuję, wilku.

- Dokąd to tak wczesnie, Czerwony Kapturku?

- Do babci.

- A co niesiesz pod fartuszkim?

- Ciasto i wino. Wczoraj piekłyśmy, a że babcia jest chora i słaba, niech sobie poje i się pokrzepi.

- Czerwony Kapturku, a gdzie mieszka twoja babcia?

- Jeszcze kwadrans drogi w głąb lasu, pod trzema wielkimi dębami. Tam stoi jej dom, a obok rośnie leszczynowy żywopłot. Na pewno poznasz – powiedział Czerwony Kapturek.

Wilk pomyślał sobie: „Ta młoda delikatna istota to dopiero tłusty kąsek, będzie smakował jeszcze lepiej niż stara, ale musisz coś chytrze wykombinować, żeby pochwycić obydwie”. Szedł więc chwilę u boku Czerwonego Kapturka, a potem powiedział:

- Czerwony Kapturku, spójrz na te piękne kwiaty, które rosną wokoło. Dlaczego się nie rozejrzysz? Wydaje mi się, że wcale nie słyszysz, jak pięknie śpiewają ptaki. Zmierzasz przed siebie, jakbyś szła do szkoły, a przecież w lesie jest tak wesoło.

Czerwony Kapturek otworzył oczy, a gdy zobaczył, że promienie słońca tańczą w liściach drzew, a wszędzie pełno jest pięknych kwiatów, pomyślał sobie: „Jeśli przyniosę babci bukiet świeżych kwiatów, na pewno sprawię jej radość. Jest jeszcze bardzo wczesnie, więc i tak zdążę na czas”. I Czerwony Kapturek zszedł z drogi w las, szukając kwiatów. A gdy zerwał jakiś, to zaraz zdawało mu się, że dalej rośnie

jeszcze piękniejszy, i biegł po niego, i w ten sposób wchodził coraz głębiej w las. A wilk poszedł prosto do domu babci i zapukał do drzwi.

- Kto tam?

- Czerwony Kapturek z ciastem i winem. Otwórz.

- Naciśnij tylko na klamkę! - zawołała babcia. - Jestem zbyt słaba i nie mogę wstać.

Wilk nacisnął na klamkę, drzwi otworzyły się, a on bez słowa ruszył prosto do łóżka babci i połknął ją. Potem ubrał się w jej rzeczy, na głowę wsadził czepek, położył się i zaciągnął zasłony wiszące nad łóżkiem.

Czerwony Kapturek biegał tymczasem za kwiatami, a gdy nazbierał ich tak wiele, że nie mógł już ich unieść, przypomniał sobie o babci i ruszył do niej. Zdumiał się, że drzwi są otwarte, a gdy wszedł do izby, zrobiło mu się tak dziwnie, że pomyślał: „Oj, mój Boże, jakże mi dziś straszno, a przecież zwykle tak lubię odwiedzać babcię!”

- Dzień dobry! - zawołał, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Podszedł następnie do łóżka i odsłonił zasłony. Leżała tam babcia, a czepek miała nasunięty na twarz i wyglądała bardzo dziwnie.

- Ach, babciu, jakie masz wielkie uszy!

- Żebyś mogła mnie lepiej słyszeć!

- Ach, babciu, jakie masz wielkie oczy!

- Żebyś mogła mnie lepiej widzieć!

- Ach, babciu, jakie masz wielkie ręce!

- Żebyś mogła mnie lepiej objąć!

- Ach, babciu, jaką masz okropnie wielką paszczę!

- Żebyś mogła mnie lepiej pożreć!

Ledwo tylko wilk to powiedział, wyskoczył jednym susem z łóżka i pożarł biednego Czerwonego Kapturka. Gdy zaspokoił już swoją zachciankę, położył się z powrotem do łóżka, zasnął i zaczął strasznie głośno chrapać. Ale właśnie obok domu przechodził myśliwy i pomyślał sobie: „Jak ta staruszka chrapie... Trzeba zobaczyć czy coś jej nie dolega”. Wszedł do izby, a gdy podszedł do łóżka, zobaczył, że leży w nim wilk.

- Tu cię mam, ty stary grzeszniku - powiedział. - Długo cię szukałem.

Już chciał nabić fuzję, ale wtedy przyszło mu do głowy, że wilk chyba zjadł babcię i że może dałoby się ją jeszcze uratować. Nie wystrzelił więc, ale wziął nożyce i począł rozcinać śpiącemu wielki brzuch. Po kilku cięciach błysnął mu czerwony kapturek, a po następnych dziewczynka wyskoczyła ze środka, wołając:

- Ach, ależ się bałam! Jakże tam było ciemno u wilka w brzuchu.

A potem stara babcia wyszła z brzucha jeszcze żywa, choć ledwo dyszała. Czerwony Kapturek szybko pobiegł po kamienie, którymi napełnili brzuch wilka, a gdy wilk się obudził, chciał uciec, ale kamienie były tak ciężkie, że natychmiast upadł na ziemię martwy.

Cała trójka bardzo się uradowała; myśliwy zdjął z wilka skórę i poszedł z nią do domu, a babcia zjadła ciasto i wypila wino, które przyniósł Czerwony Kapturek, i odzyskała na nowo siły, za to Czerwony Kapturek myślał sobie w duchu: „Do końca życia nie zejdem w lesie z drogi, gdy zakaże mi tego matka”.

Opowiadano też, że pewnego razu, gdy Czerwony Kapturek znowu niósł babci wypieki, inny wilk zagadnął go i chciał zwieść z drogi. Ale Czerwony Kapturek miał się na baczności i poszedł prosto swoją drogą. Powiedział babci, że natknął się na wilka, który wprawdzie życzył mu miłego dnia, ale bardzo źle patrzyło mu z oczu.

- Gdyby to nie było na środku drogi, na pewno by mnie pożarł.

- Chodź - powiedziała babcia - zamknijemy drzwi, żeby nie dostał się do środka. Niebawem do drzwi zapukał wilk i zawołał:

- Otwórz, babciu, to ja, Czerwony Kapturek, niosę ci ciasto!

Ale one nie odpowiedziały ani nie otworzyły drzwi. Wtedy szary okrążył kilka razy dom, a potem wskoczył na dach i chciał zaczekać, aż Czerwony Kapturek pójdzie wieczorem do domu. Zamierzał wtedy pójść za nim i pożreć go w ciemnościach. Babcia jednak przejrzała jego zamiary. Przed domem znajdowało się wielkie kamienne koryto.

- Weź wiadro, Czerwony Kapturku - powiedziała babcia. - Wczoraj gotowałam kielbasę. Wlej do koryta wodę, w której się gotowała.

Czerwony Kapturek nosił wodę, aż ogromne koryto było pełne. Wtedy zapach kielbasy dotarł do nozdrzy wilka, który zaczął węszyć i spojrzał w dół, wreszcie wyciągnął szyję tak daleko, że nie mógł się już utrzymać na dachu. Ześlizgnął się w dół prosto do wielkiego koryta i utonął. A Czerwony Kapturek poszedł radosny do domu i już nikt nie zrobił mu krzywdy.

Wilhelm i Jakub Grimm

## *Stoliczku, nakryj się*

W. i J. Grimm, *Baśnie dla dzieci i dla domu*, Poznań 2010, t. 1, s. 190-201.

Przed laty żył krawiec, który miał trzech synów i tylko jedną kozę. A ponieważ koza żywiła wszystkich swym mlekiem, musiała dostawać porządne jedzenie. Codziennie była wyprowadzana na łąkę. Synowie paśli ją po kolei. Pewnego razu najstarszy syn zaprowadził ją na cmentarz, gdzie rosła najdorodniejsza trawa, żeby się tam najadła i wybiegała. Wieczorem, gdy czas było wracać do domu, zapytał:

– Najadłaś się, kózko?

A koza odpowiedziała:

*Jestem pełna jak beczka,  
nie zjem ani listeczka,  
Mee, mee, do domu chcę!*

– Więc chodź do domu – powiedział chłopiec, chwycił za postronek, zaprowadził kozę do obory i przywiązał.

– Jak tam? – zapytał stary krawiec. – Czy koza porządnie się najadła?

– Tak – odpowiedział syn – jest pełna jak beczka i nie zje już ani listeczka.

Ojciec jednak sam chciał się o tym przekonać, poszedł do obory, pogłaskał ulubione zwierzę i zapytał:

– Najadłaś się, kózko?

Ale koza odpowiedziała:

*Po rowach skakałam,  
listeczków szukałam.  
Mee, mee, jeść mi się chce!*

– Cóż ja słyszę! – zawołała krawiec, wybiegł i zwymyślał syna: – Ej, ty kłamczuchu, mówisz, że koza jest najedzona, a morzyłeś ją głodem?

W gniewie chwycił ze ściany łokieć i okładając syna razami, wypędził go z domu. Następnego dnia przyszła kolej na drugiego syna, który wyszukał w ogrodzie przy żywopłocie miejsce, gdzie rosła najlepsza trawa. Koza wyjadła ją do czysta, a wieczorem, gdy trzeba już było wracać do domu, chłopak zapytał:

– Najadłaś się, kózko?

A koza odpowiedziała:

*Jestem pełna jak beczka,  
nie zjem ani listeczka,  
Mee, mee, do domu chcę!*

– Więc chodź do domu – powiedział chłopiec, zaprowadził kozę do obory i uwiązał.

– Jak tam? – zapytał stary krawiec. – Czy koza porządnie się najadła?  
– Tak – odpowiedział syn – jest pełna jak beczka i nie zje już ani listeczka.  
Ale ojciec nie chciał na tym poprzestać, zszedł do obory i zapytał:  
– Najadłaś się, kózko?  
A koza odpowiedziała:

*Po rowach skakałam,  
listeczków szukałam.  
Mee, mee, jeść mi się chce!*

– A to bezbożny nikczemnik! – zawołał krawiec. – Głodzić takie poczciwe zwierzę!

Pobiegł na górę, złapał łokieć i wyгнаł nim chłopca za drzwi.  
Przyszła kolej na trzeciego syna, który chciał się dobrze spisać. Wyszukał więc zarośla z najpiękniejszymi listkami i zabrał tam kozę, by sobie pojadła. Wieczorem, gdy chciał wracać do domu, zapytał:

– Najadłaś się, kózko?  
A koza odpowiedziała:

*Jestem pełna jak beczka,  
nie zjem ani listeczka,  
Mee, mee, do domu chcę!*

– Więc chodź do domu – powiedział chłopiec, zaprowadził ją do obory i tam uwiązał.

– Jak tam? – zapytał stary krawiec. – Czy koza porządnie się najadła?  
– Tak – odpowiedział syn – jest pełna jak beczka i nie zje już ani listeczka.  
Krawiec mu nie ufał, zszedł na dół i zapytał:  
– Najadłaś się, kózko?  
A niedobre zwierzę odpowiedziało:

*Po rowach skakałam,  
listeczków szukałam.  
Mee, mee, jeść mi się chce!*

– Och, ty niecny oszuście! – zawołał krawiec. – Jeden tam samo bezbożny i gnuśny jak i drugi! Nie będziecie więcej robić ze mnie głupca!

I nie posiadając się z oburzenia, pobiegł na górę i łokciem wygarbował skórę biednemu chłopcu tak mocno, że ten uciekł z domu.

Stary krawiec został przeto z kozą sam. Nazajutrz zszedł do obory, głaskał kozę i mówił:

– Chodź, moja kochana kózko, sam cię zaprowadzę na łąkę.

Chwyił za postronek i zaprowadził ją do zielonych żywopłotów i między krwawnik, i dawał jej wszystko, co lubią kozy.

– Możesz się teraz najeść do woli – powiedział do niej i pasł ją do wieczora.

Potem zapytał:

– Najadłaś się, kózko?

A koza odpowiedziała:

*Jestem pełna jak beczka,  
nie zjem ani listeczka,  
Mee, mee, do domu chcę!*

– Więc chodź do domu – powiedział krawiec, zaprowadził ją do obory i tam uwiązał.

Gdy odchodził, zawrócił raz jeszcze i zapytał:

– Teraz wreszcie się najadłaś?

Ale koza wcale nie potraktowała go lepiej i zawołała:

*Po rowach skakałam,  
listeczków szukałam.  
Mee, mee, jeść mi się chce!*

Gdy krawiec to usłyszał, zamarł z wrażenia. Zrozumiał, że trzech swoich synów wypędził bez powodu.

– Poczekaj, ty niewdzięczne stworzenie! – zawołał. – Wypędzić cię to za mało. Już ja cię tak naznaczę, żebyś nie miała się co pokazywać wśród poczciwych krawców.

Szybko pobiegł na górę, przyniósł swoją brzytwę, namydlił kozie łeb i ogolił ją tak gładko, że była łysa jak kolano. A ponieważ uznał, że jego krawiecki łokieć to zbyt wielki honor dla zwierzęcia, chwycił bat i zadał kozie takie razy, że czmychnęła stamtąd, sadząc potężny susy.

Krawiec, który teraz siedział zupełnie sam w domu, popadł w ogromne przygnębienie. Chętnie odzyskałby swoich synów, ale nikt nie wiedział, gdzie się podziewają. Tymczasem najstarszy wstąpił na naukę do stolarza. Uczył się tam pilnie i niestrudzenie, a gdy czas nauki minął i chłopak miał wyruszyć na wędrowkę, mistrz podarował mu stół, który nie wyglądał jakoś szczególnie i był zrobiony ze zwykłego drewna, ale miał za to jedną wspaniałą właściwość. Gdy się go postawiło i powiedziało: „Stoliczku, nakryj się”, dobry stoliczek zaraz przykrywał się białym obrusem i pojawiał się tam talerz, obok talerza nóż i widelec, a także miski z gotowanym i pieczystym, ile się tylko pomieściło, i wielki kielich czerwonego wina, które lśniło tak, że aż serce się śmiało. Młody czeladnik pomyślał sobie: „Wystarczy mi tego na całe życie”.

Ruszył zadowolony w świat i wcale nie troszczył się o to, czy jakaś karczma jest dobra czy zła i czy znajdzie tam coś do jedzenia czy nie. Gdy mu się podobało, to wcale nie zatrzymywał się na noc w gospodzie, tylko w polu, w lesie czy na łące – tam, gdzie miał ochotę, ścigał stoliczek z pleców, stawiał przed sobą i mówił:

– Nakryj się!

A wtedy miał wszystko, czego dusza zapagnie. Wreszcie przyszło mu do głowy, że mógłby wrócić do ojca, z którego gniew na pewno już opadł, i z pewnością ucieszyłby się on ze „stoliczka, nakryj się”. Zdarzyło się, że w drodze do domu trafił wieczorem do karczmy wypełnionej gośćmi. Ci przywitani go i zaprosili do swojego stołu, mówiąc, że w karczmie nic już więcej do jedzenia nie ma.

– Nie – odpowiedział stolarz – nie będę wam odejmował od ust tych kilku kęsów. To wy bądźcie moimi gośćmi.

Oni roześmiali się, sądząc, że stroi sobie z nich żarty. Ale on postawił swój drewniany stolik na środku izby i powiedział:

– Stoliczku, nakryj się.

W tej samej chwili stolik zastawił się potrawami tak wspaniałymi, że sam karczmarz nie byłby w stanie takich przyrządzić, a ich aromat przyjemnie łaskotał nozdrza gości.

– Bierzcie się do dzieła, drodzy przyjaciele – powiedział stolarz.

A goście, gdy ujrzeli, jak się sprawy mają, nie dali się dwa razy prosić, dosiedli się do stolika, wyciągnęli swoje noże i dzielnie zabrali się do jedzenia. Najbardziej dziwili się temu, że gdy opróżniali jakąś misę, zaraz pojawiała się na jej miejscu nowe, pełne naczynie. Karczmarz stał w kącie i obserwował sytuację. Nie wiedział, co ma powiedzieć, ale myślał sobie: „Taki kucharz przydałby się w mojej gospodzie”.

Stolarz i jego kompani biesiadowali do późnej nocy, wreszcie położyli się spać. Młody czeladnik również poszedł do łóżka, a swój cudowny stolik postawił pod ścianą. Ale kramarzowi myśli nie dawały spokoju. Przyszło mu do głowy, że w jego graciarni stoi stary stolik, który wygląda zupełnie tak samo. Poszedł więc po niego i po cichutku zamienił go na cudowny stolik. Nazajutrz stolarz zapłacił za nocleg, zapakował swój stoliczek, nie myśląc wcale, że zabrał fałszywy, i ruszył swoją drogą. W południe przybył do swego ojca, który przyjął go z ogromną radością.

– Cóż, drogi synu, czego się nauczyłeś? – zapytał go.

– Ojcze, zostałem stolarzem.

– Porządne rzemiosło – odrzekł stary – ale co przyniosłeś z wędrowności?

– Ojcze, najlepsze, co przyniosłem, to ten stolik.

Krawiec obejrzał go ze wszystkich stron i powiedział:

– To chyba nie była twoja praca na egzamin mistrzowski. Przecież to stary i brzydki stolik.

– Ale to „stoliczek, nakryj się” – odpowiedział syn. – Gdy go podstawię i powiem mu, żeby się nakrył, wtedy natychmiast pojawiają się na nim najprzedniejsze dania, a do tego wino, które raduje serce. Zaproś wszystkich krewnych i przyjaciół, niech się raz uraczą jedzeniem i pokrzepią, bo stolik wszystkich nasyci.

Gdy towarzystwo zebrało się, syn postawił stolik na środku izby i powiedział:

– Stoliczku, nakryj się.

Ale stoliczek ani drgnął – tylko świecił pustkami jak każdy stół, który nie rozumie ludzkiego języka. Wtedy biedny czeladnik zrozumiał, że podmieniono jego stolik, i zawstydzził się, że wyszedł na kłamczucha. Krewni wyśmiali go i wrócili do domu spragnieni i głodni. Ojciec znów pozbierał swoje szmaty i zabrał się do szycia, a syn najął się do pracy u mistrza stolarskiego.

Drugi syn trafił do młynarza i zaczął terminować u niego. Gdy już minęły lata nauki, mistrz rzekł:

– Ponieważ tak dobrze się sprawiałeś, podaruję ci osła szczególnego rodzaju. Nie ciągnie on wozów ani nie nosi worków.

– Jaki więc z niego pożytek? – zapytał młody czeladnik.

– Wyrzuca z siebie złoto – odpowiedział młynarz. – Jeśli postawisz go na chuście i powiesz: „*Bricklebrit*”<sup>1</sup>, wtedy na dobre zwierzę sypnie złotymi monetami – z przodu i z tyłu.

– To piękna sprawa – powiedział czeladnik, podziękował mistrzowi i ruszył w świat.

Gdy potrzebował pieniędzy, wystarczyło, by powiedział do swego osła: „*Bricklebrit*”, a już sypały się złote monety. Kosztowało go to tyle fatygi, ile zajmuje pobieranie monet z ziemi. Dokądkolwiek trafił, zadowalał się tylko najlepszym, a im było drożej, tym lepiej, bo zawsze miał pełną sakiewkę. Gdy już rozejrzał się w świecie, pomyślał: „Trzeba wracać do ojca. Jak przyjdiesz do niego ze złotym osłem, to zapomni o gniewie i przyjmie cię z powrotem”.

Zdarzyło się, że trafił do tej samej gospody, w której jego bratu podmieniono stolik. Gdy przyszedł tam, prowadząc swego osła, karczmarz chciał wziąć zwierzę i zaprowadzić do stajni, ale czeladnik rzekł:

– Nie trudźcie się, sam zaprowadzę mojego siwka do stajni i sam go tam przywiążę, bo muszę wiedzieć, gdzie stoi.

Karczmarzowi wydało się to dziwne. Doszedł do wniosku, że człowiekowi, który sam musi oporządzać swego osła, raczej się nie przelewa, ale gdy obcy sięgnął do kieszeni, wyciągnął dwie złote monety i poprosił o same smakołyki, karczmarz zrobił wielkie oczy i pobiegł wyszukać najlepsze jedzenie, jakie tylko mógł znaleźć. Po skończonym posiłku gość zapytał, ile jest winien, a że karczmarz chętnie podwajał należność swym dłużnikom, odpadł, że czeladnik jest mu winien jeszcze kilka złotych monet. Gość sięgnął do kieszeni, ale złoto właśnie mu się skończyło.

– Poczekajcie chwilę, panie karczmarzu, tylko pójde po złoto – powiedział i zabrał ze sobą obrus.

Karczmarz nie wiedział, cóż by to mogło znaczyć, ale że był ciekawy, więc po kryjomu poszedł za nim. Gość zarygłował drzwi od stajni, więc karczmarz zaglądnął do środka przez dziurę po sęku. Nieznajomy rozpostarł pod osłem obrus, zawołał: „*Bricklebrit*” i w tej samej chwili zwierzę zaczęło z tyłu i z przodu wyrzucać monety, które spadały na ziemię jak grad.

– Oj, do kroćset! – zdumiał się karczmarz. – Ten to dopiero szybko wybija dukaty. Przydałaby mi się taka sakiewka.

Gość zapłacił swą należność i położył się spać, tymczasem karczmarz nocą wślizgnął się do stajni, wyprowadził stamtąd mistrza w biciu monet, a na jego miejscu przywiązał innego osła. Nazajutrz o świcie czeladnik ruszył z osłem w drogę, sądząc, że to jego złoty osiołek. W południe przybył do ojca, który ucieszył się na jego widok i z radością przyjął go z powrotem.

– Jakiż to zawód zdobyłeś, synu?

– Zostałem młynarzem, drogi ojcze.

– A co przyniosłeś z wędrówki?

– Nic prócz osła.

– Oslów tu mamy pod dostatkiem – powiedział ojciec. – Wolałbym dobrą kozę.

---

<sup>1</sup> *Bricklebrit* – słowo o niejasnej etymologii; możliwy jest tu wpływ francuskiego wyrażenia „*bric-à-brac*”: rupiecie, szpargały.



– Tak – odrzekł syn – ale to nie jest zwykły osioł, tylko złoty osiołek, a jak powiem: „*Bricklebrit*”, wtedy to poczciwe zwierzę sygnie nam całą chustę złotych monet. Każ tylko zwołać wszystkich krewnych, a ja uczynię ich bogaczami.

– To mi się podoba – powiedział krawiec – nie będę się już musiał męczyć krawiectwem. – I sam pobiegł zwoływać krewnych.

Gdy już wszyscy byli na miejscu, młynarz poprosił ich, by zajęli miejsca, rozpostarł na ziemi sukno i wprowadził na nie osła.

– A teraz uważajcie! – powiedział i zawołał: – *Bricklebrit!*

Ale na ziemię poleciało coś zgoła innego niż monety i okazało się, że zwierzę zupełnie nie zna się na tej sztuce, bo nie każdy osioł potrafi zejść tak daleko. Biednemu młynarzowi zrzęda mina, zrozumiał bowiem, że został oszukany, i poprosił o wybaczenie krewnych, którzy wrócili do domu tak biedni jak przedtem. Nie mając innego wyjścia, stary znowu chwycił za igłę, a młody najął się do pracy u młynarza.

Trzeci brat rozpoczął naukę u tokarza, a ponieważ jest to trudne rzemiosło, terminował najdłużej. Bracia donieśli mu w liście, jaki zły los ich spotkał i jak w ostatni wieczór wędrowni karczmarz pozbawił ich pięknych czarodziejskich przedmiotów. Gdy najmłodszy brat wyuczył się już na tokarza i miał wyruszyć na wędrowną, w nagrodę, że tak dobrze się sprawował, mistrz podarował mu worek i powiedział:

– W środku jest kij.

– Worek mogę sobie przewiesić przez plecy i może mi się na coś przydać, ale na co mi ten kij w środku? Będzie mi tylko przeszkadzał.

– Powiem ci, na co ten kij – odpowiedział mistrz. – Jeśli ktoś cię skrzywdzi, powiedz tylko: „*Bij, kiju samobiju!*”. Wtedy kij wyskoczy z worka i odtańczy ludziom na plecach tak wesoły taniec, że przez osiem dni nie będą mogli się ruszyć, a kij nie przestanie bić, aż powiesz: „*Przestań, kiju samobiju!*”.

Czeladnik podziękował, przewiesił sobie worek przez plecy, a gdy ktoś za blisko do niego podszedł i chciał mu się dobrać do skóry, wtedy wołał: „*Bij, kiju samobiju!*” I natychmiast kij wyskakiwał z worka, u przetrzepywał takiemu kapotę na plecach, a wcale nie czekał, żeby tamten najpierw ją z siebie zdjął. A szło to tak szybko, że zanim się który obejrzał, już sypały się na niego razy. I tak młody tokarz dotarł pod wieczór do karczmy, w której oszukano jego braci. Położył swój tornister przed sobą na stole i zaczął opowiadać, jakie dziwne widział na świecie.

– Tak, tak – mówił – można trafić na „*stoliczek, nakryj się*”, jak i na złotego osiołka, i podobne cudowności, którymi bym nie pogardził, ale wszystko to nic wobec skarbu, jaki ja zdobyłem i mam ty przy sobie, w worku.

Karczmarz nadstawił uszu. „Cóż to może być do licha? – myślał. – Worek jest pewnie wypełniony szlachetnymi kamieniami. I też go powinienem tanio dostać, bo do trzech razy sztuka”.

Gdy przyszła pora spania, gość wyciągnął się na ławce, a worek podłożył sobie pod głowę jako poduszkę. Karczmarz, który myślał, że gość zapadł w głęboki sen, podszedł do niego, przysunął się blisko, bardzo delikatnie i ostrożnie pociągnął za worek, sprawdzając, czy da radę go wydobyć i podłożyć inny. Tokarz tylko na to czekał, a gdy karczmarz chciał mocniej szarpnąć worek, zawołał:

– *Bij, kiju samobiju!*

Kijaszek natychmiast wyskoczył z worka, jednym susem znalazł się na plecach karczmarza i bardzo pięknie wyszlifował mu wszystkie boki. Karczmarz wrzeszczał niemiłosiernie, ale im głośnie krzyczał, tym mocniej kij wybijał mu takt na plecach, aż karczmarz padł wyczerpany na ziemię. Wtedy tokarz powiedział:

– Jak nie oddasz „stoliczka, nakryj się” i złotego osiołka, potańcujemy od nowa.

– O, nie! – zawołał karczmarz. – Wszystko ci oddam, każ tylko wrócić do worka temu przekłętemu czortowi!

– Okażę ci łaskę – powiedział czeladnik – ale miej się na baczności! Przestań, kiju samobiju! – zawołał i dał kijowi odpocząć.

Następnego ranka tokarz wyruszył do ojca, zabierając ze sobą stoliczek i osła. Krawiec ucieszył się, gdy zobaczył syna, i również jego zapytał, czego się nauczył na obczyźnie.

– Drogi ojcze – odpowiedział ojciec – a co przyniosłeś z wędrówki?

– Cenny skarb, drogi ojcze – odrzekł syn – kij w worku.

– Co? – zawołał ojciec. – Kij?! To dopiero warte zachodu! Przecież kij możesz sobie odłamać od byle drzewa.

– Ale nie taki, drogi ojcze. Jak powiem: „Bij, kiju samobiju”, wtedy kij wyskakuje i bierze w niezłe obroty każdego, kto ma wobec mnie nieczne zamiary, a nie przestaje dopóty, dopóki człek ów nie padnie na ziemię i nie zacznie błagać o zmiłowanie. Popatrz, ojcze, tym kijem odzyskałem stoliczek i osła, które karczmarz złodziej odebrał moim braciom. Teraz każ ich wołać, zaprosz wszystkich krewnych, chcę ich nakarmić i napoić, a ich kieszenie napełnić złotem.

Stary krawiec nie bardzo chciał mu wierzyć, ale jednak zebrał wszystkich krewnych. Tokarz rozłożył w izbie chustę, przyprowadził złotego osła i powiedział do swojego brata:

– A teraz, braciszku, gadaj do niego.

Młynarz powiedział: „*Bricklebrit*” i na chustę natychmiast posypały się złote monety, rzęsy deszcz, a osioł nie przestawał nimi sypać, aż wszyscy mieli tyle złota, że nie mogli go unieść. (Widzę po tobie, że też byś tam chętnie był.) Potem tokarz przyniósł stół i powiedział:

– Braciszku, porozmawiaj z nim.

I ledwo stolarz wyrzekł: „Stoliczku, nakryj się”, już stoliczek był nakryty i stały na nim najwspanialsze potrawy. Odbyła się uczta, jakiej dobry krawiec jeszcze nigdy w swym domu nie oglądał, a krewni zostali u nich do późnej nocy i wszyscy radowali się i byli szczęśliwi. Krawiec zamknął w szafie igłę z nitką, łokieć krawiecki i żelazko i żył ze swymi trzema synami szczęśliwie i dostatnio.

A co się stało z kozą, przez którą krawiec wypędził swych trzech synów? Zaraz się dowiesz. Kozą wstydziła się, że ma łysą głowę, znalazła lisią norę i wczółgała się do środka. Gdy lis wrócił do domu, na powitanie z ciemności błysnęła mu para wielkich oczu, aż lis przestraszył się i uciekł. Spotkał go niedźwiedź, a ponieważ lis był bardzo roztrzęsiony, zapytał:

– Co ci jest, bracie lisie? Skąd ta mina?

– Ach – odpowiedział rudzielec – groźny zwierz siedzi w mojej norze w wlepił we mnie swe ogniste oczy.

– Przegonimy go – powiedział niedźwiedź.

Poszedł z lisem do nory i zaglądnął do środka, ale gdy ujrzał ogniste ślepie, jego również ogarnął strach. Nie chciał zadawać się z groźnym zwierzęciem i dał drapa-ka. Spotkała go pszczoła, a gdy zauważyła, że niedźwiedź wygląda nieswojo, spyta-ła:

– Niedźwiedziu, czemu masz taką okropnie ponurą minę? Gdzie podział się twój dobry humor?

– Łatwo ci mówić – rzekł niedźwiedź. – W domu rudzielca siedzi groźne zwierzę z wybałuszonymi ślepiami i nie potrafimy go przepędzić.

– Żal mi ciebie – powiedziała pszczoła. – Mizerne ze mnie stworzenie, którego nawet nie dostrzegacie na waszej drodze, ale myślę, że potrafię wam pomóc.

Pszczoła wleciała do lisiej nory, siadła na gładko ogolonej głowie kozy i użądliła ją tak mocno, że koza skoczyła na równe nogi, wrzasnęła: „Me, me” i jak szalona po-gnała przed siebie. I do tej pory nikt nie wie, dokąd uciekła.

Charles Perrault

## *Kot w butach*

Ch. Perrault, *Bajki Babci Gąski*, Wrocław 1993, s. 41-47.

Pewien młynarz pozostawił dzieciom w spadku wszystkie swoje dobra. A miał on tylko młyn, osła i kota. Dzieci prędko tym się podzieliły, nie wzywając sędziego ani notariusza. Ci bowiem zjedliby do cna ich ubogi spadek.

Syn najstarszy wziął młyn, średni osła, a dla najmłodszego pozostał kot. Najmłodszy był niepokieszony, że mu przypadł taki lichy udział.

- Moi bracia - powiedział - będą mogli we dwóch zarobić na przyzwoity kawałek chleba. Ja zaś, gdy zjem tego kota, a jego skórkę wyprawię na zarękawek, mogę tylko umrzeć z głodu.

Kot, słysząc tę przemowę, rzecze statecznie i poważnie:

- Nie trap się, gospodarzu. Daj mi tylko wór i każ mi uszyć parę butów, abym mógł łaźić po zaroślach, a zobaczysz, że twój udział w spadku nie jest taki marny, jak sądzisz.

Chociaż jego pan niewiele stawiał na to gadanie, przecież rad był, że kot chce mu dopomóc w biedzie. Widział bowiem nieraz, jakich to zwinnych i szczwanych sztuk dokazywał łapiąc szczury i myszy, kiedy to krył się w mące i udawał trupa lub zawieszal się na łapach.

Gdy tylko kot otrzymał wszystko, o co prosił, z animuszem wciągnął buty, zawiesił worek na szyi, uchwycił go przednimi łapami za sznury i ruszył ku królikarni, gdzie było mnóstwo królików. Do worka napchał otrąb i sieczki i położył się jak nieżywy, czekając, aż zbliży się do niego jakiś mały, jeszcze nieświadom zdradliwości tego świata króliczek, aby wyjść to, co kot do worka napchał.

Ledwo kot się położył, już miał uciechę; młody, nierozważny królik wlaźł mu do worka.

Imć kot pociągnął za sznurki, schwytał królika i bez miłosierdzia zrobił z nim koniec. Wielce pyszny ze swej zdobyczy, ruszył do króla i poprosił o posłuchanie.

Wezwano go tedy do komnaty jego królewskiej mości. Kot, wszedłszy, złożył królowi głęboki pokłon i powiada:

- Oto, Majestacie, królik z królikarni jaśnie wielmożnego pana Szarabana. - Tym imieniem bowiem podobało mu się nazwać swego gospodarza. - Jaśnie pan Szaraban polecił mi dostarczyć tego królika waszej królewskiej mości.

- Powiedz twemu panu - odrzekł król - że mu składam podziękowanie, gdyż wielce mnie tym ucieszył.

Wkrótce potem kot ze swoim rozwartym workiem ukrył się w zbożu. Gdy do worka wpadły dwie kuropatwy, pociągnął za sznurki i schwytał je obie naraz. Po czym poszedł złożyć je w darze królowi, jak to był uczynił z królikiem z królikarni.

Król przyjął go z taką samą uciechą i dał mu na piwo.

I tak kot przez dwa czy trzy miesiące przynosił królowi coraz to inną sztukę zwierzyny od swego gospodarza.

Pewnego razu, dowiedziawszy się, że król wraz z córką, najpiękniejszą pod słońcem panną, ma się udać na przejażdżkę nad brzeg rzeki, powiada kot do swego gospodarza:

- Jeśli zechcesz, panie, posłuchać mojej rady, to twój los wnet pięknie się ustali. Idź tylko wykąpać się w rzece, w miejscu, które ci wskażę. A na mnie zdaj resztę.

Jaśnie pan Szaraban postąpił, jak mu kot doradził, nie łamiąc sobie głowy, co z tego wyniknie.

Gdy zażywał kąpieli, nadjechał król. Kot jął krzyczeć z całej siły:

- Na pomoc! Na pomoc! Jaśnie pan Szaraban tonie!

Na ten krzyk król wychylił głowę z drzwi karocy i ujrawszy kota, który mu ty-lekroć przynosił zwierzynę, rozkazał swym gwardzistom, aby pospieszyli na pomoc jaśnie wielmożnemu panu Szarabanowi.

Gdy nieszczęsnego pana z wody wyciągano, kot zbliżył się do karocy i powiada do króla, jak to w czasie kąpieli jego pana nadeszli złodzieje i porwali mu szaty, mimo że kot ile tchu w piersi wrzeszczał: „Hajże, na złodzieja!” A sam schował, hultaj, te szaty pod kamieniem.

Natychmiast rozkazał król swym nadwornym szatnym, aby przynieśli co najpiękniejsze stroje dla jaśnie wielmożnego pana Szarabana. Po czym jął prawić jaśnie panu mnóstwo grzecznych słówek, a że szaty, w które go przybrano, dodały blasku urodzie kawalera, spodobał się wielce córce królewskiej. Był bowiem przyjemnej twarzy i piękną miał posturę.

Gdy pan Szaraban rzucił na pannę dwa czy trzy razy pełnym szacunku, a z lekka omglonym tkliwością spojrzeniem, zakochała się w nim okrutnie.

Król zaś poprosił go, by wsiadł do jego karocy i zażył przejażdżki z nim i z córką.

Kot, uradowany, że jego zamiary tak szybko spełniać się zaczynają, puścił się rączo naprzód.

Napotkawszy chłopców koszących łąkę, powiada do nich:

- Dobrzy ludzie! Kosiarze! Jeśli nie chcecie, by was wszystkich posiekano na drobne kawałki, jak mięso na pasztet, powiedzcie królowi, że łąka, którą kosicie, należy do jaśnie wielmożnego pana Szarabana!

Król nie omieszkał zapytać kosiarzy, czyją to łąkę koszą.

- Jaśnie wielmożnego pana Szarabana! - odrzekli wszyscy chórem. Rzecz prosta dlatego, że pogrożka kota wielce ich przerażała.

- Piękne ma pan dziedzictwo, panie Szarabanie - rzekł król.

- I owszem, Majestacie - odpowiedział jaśnie pan. - Łąka ta, jak łącno możesz spostrzec, królu, daje rok w rok obfity plon.

Imć kot tymczasem, który maszerował wciąż przodem, napotkał żeńców i powiada do nich:

- Dobrzy ludzie, którzy sprzątacie te zboża! Jeśli nie chcecie, by was wszystkich posiekano na drobne kawałki, jak mięso na pasztet, powiedzcie, że zboża te należą do jaśnie wielmożnego pana Szarabana!

Gdy za chwilę nadjechał król, zaciekał się, czuje są te wszystkie leżące przed nim pokotem zboża.

- Jaśnie wielmożnego pana Szarabana! - odpowiedzieli żeńcy, a odpowiedź ta ucieszyła wielce zarówno króla, jak i wielmożnego.

Kot, maszerujący przed karocą, powtarzał wciąż to samo wszystkim ludziom, których napotykał na drodze. A król dziwował się rozległości dóbr jaśnie wielmożnego pana Szarabana.

Imć kot dotarł wreszcie do pięknego zamczyska, którego panem był wilkołak, bogacz niesłychany. Wszystkie bowiem ziemie, przez które przejeżdżał król, należały do okręgu jego zamku. Kot, który już przedtem nie omieszkał zebrać wieści o obyczajach i umiejętnościach tego wilkołaka, poprosił go o posłuchanie, mówiąc, iż przechodząc mimo tego wspaniałego zamku, pragnie prosić jego pana, by mu uczynił ten honor i pozwolił złożyć sobie pokłon. Wilkołak przyjął go wielce grzecznie jak na wilkołaka i poprosił, aby sobie spoczął.

- Słyszałem - powiada kot - że umiesz pan przemiec się w każdą bestię. Ot, na przykład: że możesz pan stać się lwem czy też słoniem.

- A pewno! - odrzekł wilkołak gburowato. - Ażebyś zaś asan nie wątpił o tym, zaraz ujrzysz, jak się staję lwem!

Kot tak się strwożył, ujrawszy przed sobą lwa, że w mgnieniu oka wdrapał się na rynnę, co nie było ani łatwe, ani bezpieczne, zważywszy, że był w butach, które licha są warte do chodzenia po dachach.

Gdy tylko kot zobaczył, że wilkołak przybrał znów zwykłą sobie postać, zszedł na dół i przyznał się szczerze, że zdrowo najadł się strachu.

- Zapewniano mnie jeszcze - powiedział - ale, zaiste, niełatwo temu uwierzyć, że umie pan także przybrać postać małych bestyjek: ot, na przykład szczura czy tam myszy. Przyznać muszę, iż mi w to uwierzyć trudno.

- Trudno asanowi uwierzyć! - wpadł na niego wilkołak. - Zaraz się przekonasz!

I w tejże chwili przemienił się w mysz, która puściła się biegiem po podłodze. A kot dał susa i zjadł mysz.

Tymczasem król, przejeżdżając mimo zamku wilkołaka, zapragnął wejść do wnętrza.

Kot, posłyszawszy łoskot toczącej się po zwodzonym moście karocy, wybiegł naprzeciw i powiada do króla:

- Witaj, Majestacie, w zamku jaśnie wielmożnego pana Szarabana!

- Jak to? - wykrzyknął król. - I ten zamek należy do ciebie, jaśnie wielmożny pani Szarabanie? Ach, co może być piękniejszego nad ten podwórzec otoczony nadobnymi budynkami! Wejdźmy do środka, jeśli łaska!

Jaśnie pan podał rękę młodej księżniczce i ruszyli za królem, który szedł pierwszy. Weszli do wielkiej komnaty, gdzie zastali zastawioną wspaniałą ucztę, którą był przygotował wilkołak dla swych przyjaciół. Mieli go bowiem odwiedzić jeszcze dziś. Lecz dowiedziawszy się, że król jest w zamku, nie odważyli się wejść do środka.

Król na równi ze swą córką, która całkiem straciła głowę, oczarowany był niepowszednimi zaletami jaśnie wielmożnego pana Szarabana. Widząc nadto, jak wielkie dobra jaśnie pan posiada, król, łyknąwszy sobie pięć czy sześć dobrych kielichów, powiedział:

- Jedynie od waszmości zależy, by zostać moim zięciem!

Honor który mu uczynił król, przyjął jaśnie pan z głębokim pokłonem. I tego jeszcze dnia poślubił księżniczkę. Kot zaś został szlachcicem i gonił myszy tylko dla igraszki.

## MORAŁ PIERWSZY

Prawda: to korzyść oczywista,  
gdy możesz z ojców dóbr korzystać.  
Prawnie dziedziczyć – to nie wstyd.  
Lecz więcej niżli testamentom  
zawierz zdolnościom i talentom,  
a czasem – zdaj się i na spryt.

## MORAŁ WTÓRY

Jeśli czasem na świecie taka rzecz się zdarza,  
że serce córki króla zyska syn młynarza  
i ta z nagłą go darzy omdłym spojrzeniem,  
wierście mi, iż zazwyczaj ważą tu niemało  
– budząc miłość i tkliwym sprzyjając zapalom –  
młodość, zdobywcza postać i piękne odzienie.

Charles Perrault

## *Śpiąca królewna*

Ch. Perrault, *Bajki Babci Gąski*, Wrocław 1993, s. 27-39.

Byli sobie raz król i królowa, którzy się bardzo niecierpliwi, że nie mają dzieci. Trudno powiedzieć, jak bardzo. Jeździli po całym świecie do rozmaitych wód, składali śluby, pielgrzymowali – wszystko na próżno.

Wreszcie jednak królowa urodziła córkę.

Wyprawiono piękne chrzciny. Na chrzestne matki zaproszono wszystkie wróżki z całego królestwa, a było ich siedem. Król i królowa liczyli na to, że mała księżniczka otrzyma od nich w darze najwspanialsze zalety. Czynić takie dary było wówczas we zwyczaj wróżek.

Po ceremonii chrztu cała kompania udała się do królewskiego pałacu, gdzie na cześć wróżek odbyć się miała wspaniała biesiada. Przed każdą z nich położono bogate nakrycie i szczerozłote puzderko, a w nim złotą łyżkę, złoty sztuciec i złoty nóż. Wszystko wysadzono suto diamentami i rubinami.

Nagle, gdy już każdy zajmował swoje miejsce za stołem, ujrano wchodzącą starą wróżkę, której wcale na biesiadę nie zaproszono, bo od pięćdziesięciu z górą lat nie opuszczała wieży. Wszyscy sądzili więc, że już umarła lub że ją coś uroczyło.

Król rozkazał położyć przed nią nakrycie, lecz nie sposób było dać jej szczerozłote puzderko, gdyż wyrobiono ich tylko siedem – dla siedmiu wróżek.

Starowina myślała, że ją postponują, zaczęła więc mruczeć pod nosem jakieś pogroźki. Posłyszała to jedna z siedzących opodal młodych wróżek i zatrwożyła się, aby starucha nie obdarzyła czymś zgubnym małej księżniczki. Więc gdy tylko wstała od stołu, ukryła się za zasłoną, aby zabrać głos ostatnia i – jeśli zajdzie potrzeba – naprawić zło wyrządzone przez staruchę.

Tymczasem wróżki rozpoczęły już wręczanie darów księżniczce. Pierwsza, najmłodsza, oznajmiła, że księżniczka będzie najpiękniejszą w świecie osobką. Druga – że będzie roztropna jak cherubinek. Trzecia – udzieliła jej daru czynienia wszystkiego z zadziwiającym wdziękiem, czwarta – daru najzwinniejszego tańca, piąta – słowiczego głosu, szósta – umiejętności doskonałej gry na wszystkich instrumentach.

Gdy przyszła kolej na starą wróżkę, ta, trzęsąc głową, i to z gniewu, nie ze starości, powiedziała, że księżniczka przekłuje sobie dłoń wrzecionem i umrze.

Straszliwy dar wróżki przejął trwogą wszystkich zgromadzonych. Nie było nikogo, kto by nie płakał. Wtedy zza zasłony wystąpiła młoda wróżka i donośnym głosem odezwała się w te słowa:

– Bądźcie spokojni, królu i królowo. Księżniczka nie umrze. Nie mam wprawdzie tyle mocy, aby odwrócić zło, które sprowadziła moja starsza krewniaczka, i nie mogę mu przeszkodzić, więc księżniczka przekłuje sobie dłoń wrzecionem. Nie umrze jednak, ale zapadnie w głęboki sen, który trwać będzie sto lat. Lecz gdy sto lat przeminie, zjawi się syn królewski i obudzi księżniczkę.

Król, aby oddalić nieszczęście zapowiedziane przez starą wróżkę, kazał natychmiast ogłosić edykt grożący śmiercią każdemu, kto by prządl na kołowrotku lub miał u siebie wrzeciono.



Minęło lat piętnaście. Król i królowa udali się na wieś do swego letniego pałacyku, a młoda księżniczka biegała po zamku sama. Wspinając się po schodach coraz to wyżej, zaglądając do komnat, i wreszcie zapędziła się aż na szczyt zamkowej baszty, gdzie na poddaszu, w małej izdebce, siedziała jakaś starowina i przędła kądziel na kołowrotku. Pocziwina nic nie wiedziała o zakazie królewskim tyczącym się wrzeciona.

- Co to robicie, moja kobiecino? - zapytała księżniczka.

- Przędę, moja śliczna - odrzekła stara.

- Ach, jak ładnie! Jak to się robi? Pozwólcie, abym i ja spróbowała.

Lecz ledwo księżniczka wzięła do ręki wrzeciono, czy to z przyczyny wrodzonej żywości, czy też z woli wrózek, przebiła sobie nim rękę i padła zemdlona. Wielce zaniepokojona starowinka jęła głośno przyzywać pomocy. Zbiegli się zewsząd dworacy, spryskiwali twarz księżniczki wodą, rozluźnili jej gorsecik, natarli skronie la-rendogą. Nie odzyskała jednak przytomności.

Wówczas król, który zjawił się na ten gwałt i krętaninę, przypomniał sobie odpowiednie wrózek. Uznał, że tak stać się musiało, skoro tak orzekły wróżki, i kazał ułożyć księżniczkę w najpiękniejszej komnacie pałacu, na wspaniałym łożu, pokrytym złotymi i srebrnymi koronkami.

Wydawała się aniołem - tak była piękna. Chociaż omdlała, nie straciła pięknych rumieńców, policzki jej były różane, a usteczka jak korale. Nie umarła jednak - chociaż oczy miała zamknięte; słychać było jej lekkuchne tchnienie.

Król rozkazał, by nic nie zakłócało spokoju śpiącej aż do chwili ocknienia.

Gdy ten przypadek zdarzył się księżniczce, dobra wróżka, która uratowała ją od śmierci, skazując na stuletni sen, znajdowała się w oddalonym o tysiąc dwieście mil królestwie Facecji. Wiadomość o tym, co się stało, przyniósł jej mały karzełek, co miał siedmiomilowe buty. (Gdy się w nie obuło - każdy krok mierzył siedem mil.) Wróżka wybrała się natychmiast w drogę i już po godzinie ujrzała ją w zamku, zbliżającą się na ognistym wozie, oprężonym w smoki.

Król podał jej rękę, gdy wysiadała, a wróżka pochwaliła go za wszystkie poczynania. Że była to jednak wielce przewidująca dama, zatroszczyła się, by księżniczce nie było nijako samej, gdy się zbudzi w tym starym zamczysku. I oto co uczyniła: pominawszy króla i królową, jęła wszystko, co było w zamku, tykać swoją laseczką. Tknęła ochmistrzynię, panny służące, garderobiane, szlachciców, oficerów, marszałków dworu, kuchmistrzów, kuchcików, chłopców na posyłki, dozorców, paziów, lokajów. Tknęła konie w stajniach, masztalerzy, wielkie kundły podwórzowe i małą Pufcię, suczkę księżniczki, leżącą na jej łożu. I wszystko w zamku, czego tknęła laseczka wróżki, zapadało w głęboki sen, z którego ocknąć się miało wraz ze swoją panią, aby jej służyć, gdy tego zażąda. Usnęły nawet, obracając się nad ogniem, różny z nadzianymi kuropatwami i bażantami - a wraz z nimi usnął ogień. Wszystko to stało się w mgnieniu oka, bo wróżki są zwinne w robocie.

Ucałowawszy ukochane dziecko, król i królowa wyszli z zamku i rozkazali ogłosić, że nikomu do niego zbliżać się nie wolno. Nie trzeba było zresztą u tego zakazu, bo w ciągu kwadransa wyrosła wokół ogrodów zamkowych taka gęstwina wielkich i małych drzew, splątanych jeżyn i głogów, że nie mógł przedrzeć się przez nią żaden zwierz ani człowiek. Spoza gęstwiny zaledwie dostrzec można było, i to z bardzo

daleka, szczyty zamkowych wież. Oczywiście nikt nie wątpił nawet, że była to jeszcze jedna czarodziejska sztuczka wróżki, aby ktoś ciekawy nie zakłócił snu księżniczki.

Minęło sto lat. Syn króla, który panował w tym kraju, a był on już z innego rodu niż śpiąca księżniczka, wybrał się w te strony na łowy i zapytał towarzyszy, co to za wieżycy wznoszą się ponad wielkim i gęstym lasem. Każdy opowiedział mu, co o tym słyszał. Jeden, że to stare zamczysko, w którym straszy, inny – że tu schodzą się okoliczni czarodzieje i wyprawiają swe harce. Ale najwięcej głosów było za tym, że w zamku mieszka wilkołak i porywa bezkarnie wszystkie dzieci, których tylko dopadnie. Nikt bowiem schwytać go nie może, gdyż jedynie wilkołak jest w mocy przedrzeć się przez ten las.

Księżę nie wiedział, komu wierzyć, gdy odezwał się stary chłop:

– Et, wasza wysokość! Już pięćdziesiąt lat temu słyszałem, jak mój ojciec opowiedział, że w tym zamku jest księżniczka. Piękniejszej ludzkie oczy nie widziały. Ponoć śpi ona już sto lat, a obudzi ją syn królewski, któremu jest przeznaczona.

Na te słowa ognisty zapał porwał młodego księcia. Już nie wątpił ani chwili, że to on musi rozegrać do końca tę niezwykłą awanturę. Rozgorzały miłością i żądzą sławy postanowił przekonać się natychmiast, ile jest prawdy w tym wszystkim. Zbliżył się do lasu i w tejże chwili wszystkie drzewa, wszystkie głogi i jeżyny rozwarły się przed nim, czyniąc mu dogodne przejście. Ruszył więc ku zamczysku i wszedł w długą aleję. U jej końca widział majaczący zamek. Dziwiło go nieco, że nikt z jego asysty nie mógł mu towarzyszyć, bo gęstwina zamykała się za nim, gdy ją tylko przekroczył. Szedł jednak wytrwale przed siebie, bo młody zakochany księżę jest zawsze odważny. Wreszcie wstąpił na wielki frontowy dziedziniec, którego widok mógł łatwo zmrozić krew w żyłach. Panowała tu złowroga cisza. Wszystko zdawało się obrazem śmierci. Leżący pokotem ludzie i zwierzęta nie dawali znaku życia. Lecz księżę poznał po pryszczastych nosach i czerwonych gębach strażników, że nie umarli, a śpią. Ich szklanki, w których pozostało na dnie jeszcze parę kropel wina, świadczyły, iż zasnęli popijając sobie tęgo.

Wędrując dalej, księżę dotarł do brukowanego marmurem dziedzińca, wszedł na schody i do kordegardy, gdzie gwardziści, stojąc szpalerem z muszkietami na ramionach, chrapali w najlepsze. Po czym minawszy wiele pokoiów, gdzie stojąc, siedząc, spały damy i szlachcice, wszedł do złocistej komnaty. Tu, na łożu o uniesionych zasłonach, ujrzał najpiękniejszy widok, jaki oglądał w życiu.

Była to księżniczka. Nie zdawała się liczyć więcej niż piętnaście lub szesnaście lat, a była piękna i świetlista jak bogini. Księżę, zadziwiony, zbliżył się drżąc i padł przed księżniczką na kolana. A że już właśnie przyszła pora, by się ocknęła, czar przysnął i księżniczka spojrzała na księcia tak tkliwie, aż to się zdawało dziwne przy pierwszym spotkaniu. Po czym rzekła:

– Czy to ty, mój księżę? Długo czekałam na ciebie.

Księżę, oczarowany tymi słowy, a bardziej jeszcze wdziękiem, z jakim zostały wypowiedziane, nie wiedział, jak wyrazić swą wdzięczność i ukontentowanie. Zapewnił więc tylko, że kocha ją nad wszystko w świecie. Słowa rwały mu się, lecz tym bardziej podobały się księżniczce. Dowodziły bowiem, że więcej w nich miłości niż krasomówczych sztuczek.

Książę zdawał się bardziej zakłopotany od księżniczki. Nic w tym dziwnego. Wszakże księżniczka mogła przez sto lat śnić o tym, co ma mu powiedzieć. Powiada ją bowiem, że wróżka, aby umilić czas księżniczce, sprowadziła jej błogie sny.

Tak czy owak, książę i księżniczka, choć już od czterech godzin wiedli ze sobą rozmowę, nie powiedzieli sobie jeszcze i połowy tego, co chcieli.

Tymczasem wraz z księżniczką obudził się cały dwór i każdy chciał się brać do swoich obowiązków, ale wszyscy byli niezwykle głodni. Nie wszyscy bowiem byli zakochani. Pewna zgłodniała dama dworu zniecierpliwiła się wreszcie i oznajmiła księżniczce, że podano pieczone. Książę pomógł wstać księżniczce, która była przecież ubrana, i to nawet wspaniale. Przezornie jednak nic jej nie powiedział, że ma suknię z czasów prababek, zapiętą wysoko pod szyję. I w tym zresztą pięknie wyglądała.

Oboje przeszli do lustrzanej sali i spożyli tu wieczerzę, a usługiwali im adiutanci księżniczki. Skrzypce i oboje grały stare pieśni zawsze jednako pięknie, choć ich nie grano od stu lat.

Po wieczerzy kapelan królewski w zamkowej kaplicy dał ślub młodej parze, a dama dworu opuściła zasłony przy łożu księżniczki.

Młodzi mało spali tej nocy – księżniczka była przecież bardzo wyspana.

O świcie pożegnał ją książę, aby udać się do miasta, gdzie oczekiwał go ojciec, zapewne bardzo zaniepokojony jego długą nieobecnością. Książę tłumaczył się, że zbłądziwszy w lesie podczas łowów, zmuszony było nocować w chacie smolarza, który ugościł go czarnym chlebem i serem. Ojciec, poczciwina, uwierzył, ale matka nie całkiem była o tym przeświadczona. Widząc zaś, że syn prawie co dzień wyrusza na łowy i dwie albo trzy noce spędza poza domem, zawsze mając pod ręką jakąś wymówkę, nabrała pewności, że wplątał się on w jaką miłosną awanturkę.

Dwa lata upłynęło od ślubu księcia i miał on już z księżniczką dwoje dzieci: starszą córeczkę – Jutrzenkę, i młodszego od niej synka, którego nazwano – Poranek. Był on jeszcze piękniejszy od siostry.

Królowa-matka nieraz mawiała do syna, że życie winno mieć swoje uciechy, a to dlatego, by go skłonić do serdecznych zwierzeń. Książę jednak nie śmiał się przyznać do niczego. Bo chociaż kochał matkę, szczerze jej się lękał. Pochodziła ona bowiem z rodu wilkołaków, a król poślubił ją dla jej wielkich majątkości. Szeptano sobie nawet na dworze, że odzywa się w niej krew wilkołacka i że wielki gwałt sobie zadaje, by nie dopadać drepcących dzieci. Tak więc książę nie mówił jej o niczym. Lecz gdy po dwóch latach król zamknął oczy, a młody książę objął panowanie, oznajmił wszem i wobec o swym małżeństwie. Po czym z wielką paradą wyruszył po żonę do jej rodzinnego zamku.

Przybycie i wjazd królowej z dwojgiem dzieci odbyły się z niezwykłą okazałością.

Wkrótce potem młody król wyruszył na wojnę ze swoim sąsiadem, cesarzem Bigocji, ustanawiając swoją matkę regentką i polecając jej gorąco żonę i dzieci. Spodziewał się, że zabawi na wojnie całe lato.

Gdy tylko wyruszył, królowa-matka wysłała swoją synową i jej dzieci na letnisko. Spodziewała się bowiem, że w ustronnym miejscu łatwiej zaspokoi straszliwy swój apetyt. Sama udała się tam w parę dni później i powiada do marszałka dworu:

- Jutro podasz mi, asan, na obiad Jutrzenkę.
- Olaboga, pani... - odezwał się marszałek.
- Tak mi się podoba - fuknęła królowa głosem wilkołaka, który ma apetyt na świeże mięso. - Chcę ją zjeść, i to w cebulowym sosie!

Nieszczęsny marszałek, wiedząc dobrze, że z wilkołaczką igrać niebezpiecznie, wziął wielki nóż i ruszył do komnatki małej Jutrzenki. Miała ona zaledwie cztery lata i śmiejąc się i skacząc wybiegła mu naprzeciw i rzuciła się na szyję, prosząc o cukierki. Marszałek rozplakał się z rozczulenia, upuścił z ręki nóż, po czym poszedł na podwórko i zarznął baranka. Przyprawił go w znakomitym sosie, a jego pani powiedziała mu, że nigdy nic równie smacznego nie jadła. Jednocześnie marszałek uniósł z zamku Jutrzenkę i powierzył opiece swojej żony, przykazując, by ją ukryła w domu przy końcu podwórka.

Po ośmiu dniach niegodziwa królowa powiada do marszałka dworu:

- Podasz mi, asan, potrawę z Poranka na wieczerzę.

Tym razem marszałek ani się odezwał, bo zamierzał oszukać ją po raz wtóry. Poszedł więc po małe książątko. Choć miało ono dopiero trzy lata, zastał je bijące się na flowery z wielką małpą. Znowu zaniósł dziecko do swojej żony, która je ukryła wraz z małą Jutrzenką, a zamiast potrawy z Poranka podał na stół królowej koźlątko tak kruche, że nie mogła się dość nachwalić jego smaku.

Tak więc do tej pory wszystko szło gładko, gdy pewnego wieczoru powiada niegodziwa wilkołaczka do marszałka:

- Ma apetyt na królową, i to w takim sosie jak jej dzieci.

Tym razem nieszczęsnemu marszałkowi opadły ręce. Zwątpił, aby mu się udało podejść królową raz jeszcze. Młoda królowa bowiem miała już z górą lat dwadzieścia, nie licząc tych stu, które przespała. Skórka jej była więc już nieco przytwarda, choć biała i gładka. Głównie tu, człowieku, jak znaleźć bydlątko o takiej skórze! A że marszałkowi chodziło też i o własną, postanowił z bólem serca zarznąć królową. Ruszył więc zamasyście do jej komnaty, by rzecz skończyć od razu.

Idąc podzegał w sobie złość i wszedł do królowej z kordelasem w ręku. Chcąc jednak znaleźć się, jak należy, przedłożył jej rozkaz królowej-matki z należytą rewerencją.

- Ależ, proszę, bardzo proszę - rzekła królowa nadstawiając szyję. - Czyń pan, marszałku, co ci nakazano. Połączę się z dziećmi, z moimi nieszczęsnymi dziećmi, które tak kochałam.

Tak mówiła królowa, gdyż od chwili porwania dzieci była pewna, że nie żyją.

- Nie! Nie! - powiada biedny marszałek szczerze wzruszony. - Wasza królewska mość będzie żyła i spotka się ze swymi dziećmi - cała i zdrowa. I to w moim domu, gdzie je ukryłem. Raz jeszcze oszukam królową-matkę i podam jej pieczoną łanię zamiast waszej królewskiej gości.

Po czym natychmiast poprowadził królową do swego domu, gdzie mogła wreszcie uściskać swoje dzieci i wypłakać się z nimi. Sam zaś przyprawił łanię, którą stara królowa zjadła z takim apetytem, jak by to była jej synowa, i bardzo była z tego rada. A umyśliła sobie powiedzieć królowi po jego powrocie, że jego żonę i dwoje dzieci pożarły wściekłe wilki.

Któregoś wieczoru, gdy królowa-matka snuła się po dziedzińcach i podwórcach, węsząc swoim zwyczajem za świeżym mięsem, posłyszała z jakiejś izdebki płacz małego Poranka, któremu matka dała w skórę, bo był niegrzeczny. Usłyszała też głos Jutrzenki, ujmującej się z braciszkiem. Poznawszy głos dzieci i matki, wpadła w straszliwą złość, że ją oszukano, i już nazajutrz rozkazała głosem tak strasznym, aż wszystkich przeszły ciarki, aby na środku zamkowego podwórka ustawiono wielką kadź. Kadź tę kazała napęlić padalcami, ropuchami i żmijami i wrzucić w nią królową, jej dzieci, marszałka, jego żonę i posługaczkę. Rozkazała też, by ich przyprawiono z wykreconymi w tył i skutymi rękami.

Skazańcy nadeszli, a oprawcy już się sposobili, by ich wrzucić do kadzi, gdy król, którego tak rychłego powrotu nikt się nie spodziewał, wpadł konno na dziedzińiec. Przybył on z przednią strażą i wielce zdumiony pyta, co ma znaczyć ten straszliwy widok. Gdy wszyscy milczeli, nie wiedząc, co odpowiedzieć, rozjuszona obrotom spraw wilkołaczka cisnęła się głową naprzód do kadzi. W jednej chwili pożarły ją obmierzłe bestie, które sama do kadzi wsypać kazała.

Król strapił się tym, gdyż była przecież jego matką. Lecz przy żonie i dzieciach pocieszył się niezadługo.

#### MORAŁ

Gdy panna chce iść za mąż – niech będzie cierpliwa –  
skromnej pannie obyczaj poczekać pozwala,  
gdy mąż ma być bogaty, rozumny i galant –  
doprawdy, że oplaca się wtedy czekanie.

Lecz czasami zbyt długie to czekanie bywa,  
jak to – stuletnie, chociaż w miłym śnie upływa.  
Dziś nie znajdzie się chyba tak szczęśliwych panien,  
bo każda się dziś panna ku szczęściu wrywa.

Jedno jeszcze ta bajka powiedziec się stara:  
że kiedy się wesele na później odłoży,  
szczęściu to nie przeszkodzi. Być może – pomoże  
i na dłuższym czekaniu zyska młoda para.

Lecz że ognista miłość nie cierpi czekania  
i spieszy zawsze z racji wielkiego zapału,  
więc oszczędzę wam przeto zrzędnego gadania  
i brzęczenia u uszu słowami morału.